NUMER POŚWIĘCONY TATROM

CENA ZESZYTU PODWÓJNEGO 1 ZŁ. 20 GR.

KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK IV NR 5-6

ROK IV **KAMENA** NR 5-6 (35-36)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

STYCZEŃ—LUTY 1937 R.

TREŚĆ NUMERU PIĄTEGO-SZÓSTEGO

HANNA MARCZEWSKA	Asnyk i Kasprowicz jako poeci Tatr	str. 101
JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI	Z myśli o alpinizmie	„ 110
STANISŁAW RYSZ. DOBROWOLSKI	Janosik z Tarchowej	„ 111
LUDWIK ŚWIEŻAWSKI	Przedwiośnie w Tatrach	„ 113
WŁODZIMIERZ PIETRZAK	Tatry	„ 114
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Gniazdo	„ 114
STANISŁAW BĄKOWSKI	Kamienie	„ 115
MIROSŁAW STEF. RADECKI	Tatry	„ 116
IGNACY IGOŃ	Słowa powrotne	„ 116
BRONISŁAW KRYST WIERZEJSKI	Siklawa Pięciu Stawów	„ 117
JERZY KAMIL WEINTRAUB	Zakopiańskie przedwiośnie	„ 117
MARIA SZCZEPAŃSKA	Godziny	„ 118
JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI	Przez burzę	„ 123
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Z dziennika tatrzańskiego	„ 126
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI	Strzępy	„ 130
ALEKSANDER PUSZKIN	Kaukaz	„ 133
JAN SMREK	Wśród mgieł	„ 133
LIUDO ONDREJOV	Na schyłku trzeciorzędu	„ 134
JAN SMREK	Na szczycie	„ 135
OSYP MAKOWEJ	Nad chmury	„ 135
MYROSŁAW KAPIJ	Góry	„ 135
ROSE BAILLY	Dusza-góra	„ 136
MARTIN GREIF	Kosodrzewina	„ 137
CONRAD FERD. MEYER	Odgłosy górskie słyszę	„ 137
	Biały szczyt	„ 137
Kronika słowiańska		„ 138
Noty		„ 138

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Z Tatr

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.
Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.
Wydawca: Zenon Waśniewski.
Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43
Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki.
Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr. Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (żółtym). Numer okazowy „Kameny" wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

Opóźnianie w płaceniu prenumeraty powoduje opóźnienie w wysyłce pisma ze względu na wysoką opłatę pocztową numerów jako druków.

CENA NUMERU 60 gr.

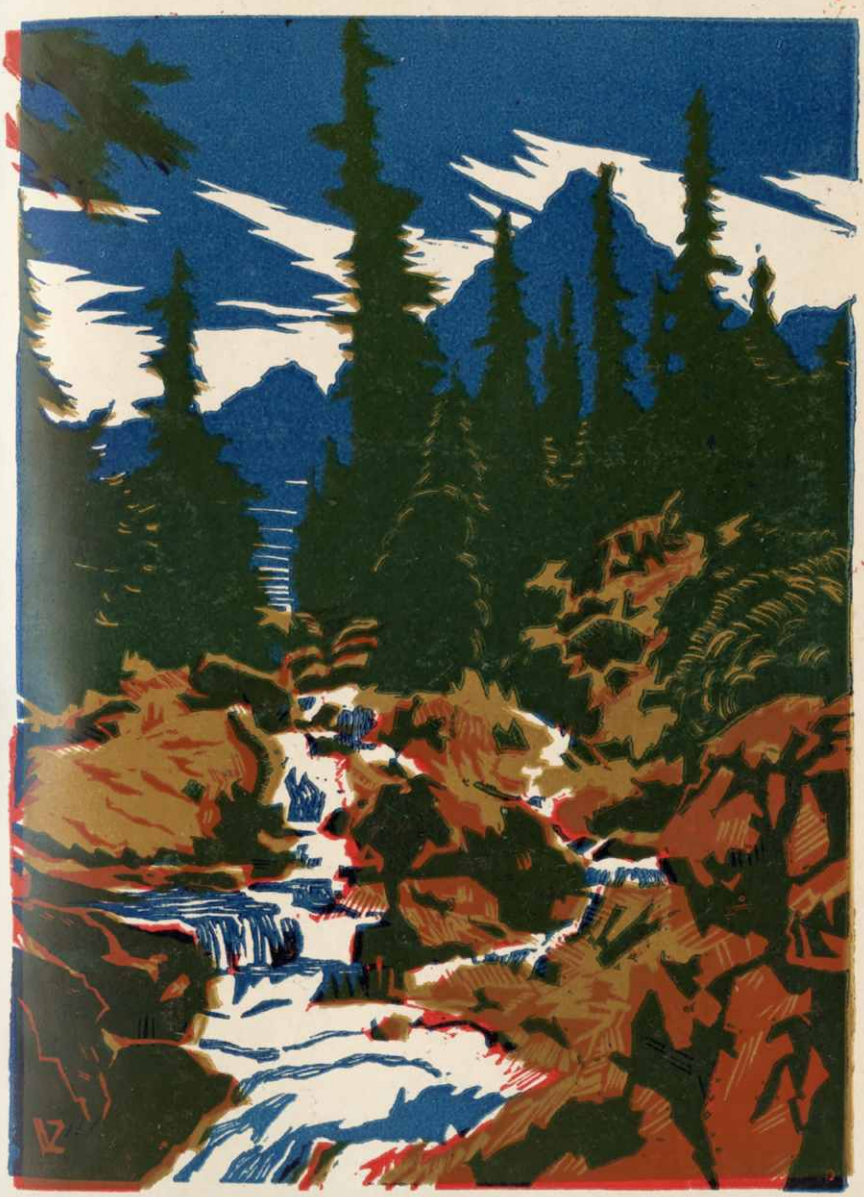

KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK IV STYCZEŃ—LUTY 1937 R. NR 5-6 (35-36)

ASNYK I KASPROWICZ JAKO POECI TATR*)

Asnyk przybył do Zakopanego między 1873 a 1875 r.; najprawdopodobniej w 1874 r. Nawskroś intelektualista, rozumiał i oceniał przyrodę przez pryzmat nauki. Odrzuciwszy romantyczne przybory nie podszedł do przyrody górskiej i górskiego ludu z prostotą i zrozumieniem. Przeciwnie — odrzuciwszy uczucie, czynnik dominujący w poezji romantyków, zastąpił je rozumem, który z kolei stał się bożyszczym poezji. Fantazję — zastąpiła filozofia, zatem jeden rynsztunek został zastąpiony drugim. Góry w dalszym ciągu zostały nie zrozumiane, nie wyzyskane dla poezji. Cały ruch od romantyzmu do pozytywizmu można określić, jako dwa przeciwstawne ruchy wahadła, po których nastąpi przejście do pozycji środkowej, do wykorzystania dwóch poprzednich epok i zespolenia ich w harmonijnej syntezie. Nauka odniosła chwilowo zupełne zwycięstwo nad sztuką — stała się niejako jej władzą zwierzchnią; przez pryzmat nauki patrzano na świat, podobnie, jak dawniej pryzmatem tym była fantastyka i pewna koturnowość. Góry mają swój specyficzny wpływ na człowieka, który się uwidocznia w każdej epoce, przenikając poprzez najgłośniejsze hasła. Podobnie jak z punktu widzenia fizycznego — przede wszystkim budzi się w turyście troska, choćby podświadoma, o własne życie i bezwzględna odpowiedzialność za każdy krok — tak i w dziedzinie psychiki ludzkiej — przede wszystkim budzą się zagadnienia wybitnie osobiste, które rozszerzając się stopniowo, obejmują koncentrycznie coraz szersze kręgi, aż gubią jednostkę ludzką, jako jedną z miliona istnień objęty h wspólną myślą. To jest zasadniczy wpływ, jaki wywierają góry na twórcę, co można stwierdzić długim szeregiem przykładów Proces ten odbywa się w tak niezamącony sposób jedynie wtedy gdy nie

*) Dwa fragmenty większej pracy o literaturze tatrzańskiej od 1874 do 1905 r. Redakcja nie we wszystkim zgadza się z wywodami autorki.

wchodzą w grę żadne założenia aprioryczne. Gdy Asnyk zaczął pisać wiersze tatrzańskie, co nastąpiło w 1876 r., skłaniał się już powoli ku pozytywizmowi, ale jeszcze nie wypowiedział wyraźnie swojego credo. Pierwszymi wierszami tatrzańskimi, które ukazały się w druku, były sonety p. t. „Morskie Oko", w liczbie pięciu zamieszczone w „Pamiętniku T T" z 1876 r. Uwagę poety zwraca przede wszystkim dzikość i straszliwa po prostu piękność przyrody, owa:

„...surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje jak mała dziecina
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!"

Widok, który przemawiał w pierwszej chwili do jego umysłu, jako świadectwo przewrotów i zmian w skorupie ziemskiej, porywa go, zachwyca i daje mu moment bezinteresownej, estetycznej kontemplacji. W ślad za umysłem i myślą podąża uczucie, przejawiające się w sentymentalnym i zbanalizowanym już w barok obrazie źródła tryskających łez — na widok piękna. Pierwsze zbliżenie do gór, przetransponowane na materiał twórczy, dało zatem opanowany w słowach i zamknięty w zwięzłą formę sonetu — wyraz zachwytu. Poetę cieszy patrzenie na góry; sposób tego patrzenia jeszcze go nie niepokoi, a może tylko przytłoczony jest nadmiarem pierwszych, najsilniejszych wrażeń. W dwa lata później pisze poeta „Ranek w górach" (drukowany w „Pamiętniku T. T" z 1879 r.). Utwór odznaczający się niesłychaną prostotą i melodyjnością, świadczący o ogromnej wrażliwości na barwy i dźwięki. Piękno przyrody jedynie przemawia do poety nie zostawiając miejsca dla uwag programowych, czy filozoficznych refleksji. Zasadniczym dopiero zwrotem w poezji Asnyka jest wiersz „Maciejowi Sieczce" napisany w 1879 r., gdzie poeta określa wyraźnie swoje, odrębne od poprzedników, stanowisko na polu poezji tatrzańskiej. Teraz nie obserwowanie natury lecz sposób jej obserwowania stanowi zasadniczy moment wiersza.

Tyś czuł, że prawda piękna — chociaż naga,
Gdy jest odczutą silnie a głęboko;
Że tracić musi dzika gór powaga,
Gdy fantastyczną okryć ją powłoką;
I że nie trzeba robić z skał posągów,
Ani wytwarzać różnych dziwolągów.
I nie prawiłeś mi spłowiałej bajki
O Dziwożonach lub zaklętych skarbach;
Lecz, dym puszczając z swej króciutkiej fajki,
Juhasów w żywych malowałeś farbach,
Życie w szałasach i życie na hali,
Dolę niedolę pasterskich górali".

Ideałem poety jest spojrzenie na góry okiem górala, pojmowanie i oddawanie ich piękności w sposób naturalny, bez-

pośredni, odrzucenie świata fantazji, a przyjęcie świata rzeczywistego, Jest to jednak ideał raczej teoretyczny, gdyż w rzeczywistości kult, jakim otaczano nauki ścisłe i całą wiedzę — nie pozwalał na bezpośredniość w sztuce. Przyczynowość, celowość, zagadka bytu, absorbowały umysł twórcy dając nowe konwencjonalne formułki utworom literackim. Następny wiersz Asnyka „Noc pod Wysoką" — to dowód, że głębia myśli filozoficznej przeważa nad postulatami realnej odtwórczości. Obraz przyrody to zaledwie tło, kanwa, na której poeta haftuje swe refleksje. Zasadnicza różnica dzieląca poetów okresu pozytywizmu od twórców późniejszych — to stanowisko obserwatora, jakie przyjmują wobec zjawisk przyrody. Nie widać w ich stosunku do natury zespolenia się z nią, poczucia pewnej zależności i niższości wobec nieubłaganej konieczności spełniających się faktów. Odosobnieni i niejako uniezależnieni obserwują z daleka grę żywiołów, jak igrzysko urządzane specjalnie dla nich, panów stworzenia. Wszystkie czynniki irracjonalne odrzucone, nic nie zaciemnia jasnego i zrozumiałego obrazu świata. Noc przynosi na chwilę poczucie czegoś niewytłumaczalnego, niedopowiedzianego, ale są to reminiscencje dawnych, tradycyjnych urojeń, pewien kompromis podświadomy, który zawierał poeta z wierzeniami swej młodości. Odczucie praw powszechnych jasnych i zrozumiałych: praw natury, którym podlega zarówno przyroda, jak człowiek, które stanowią jedyną ich wspólną płaszczyznę — popycha myśl na tory refleksji filozoficznych, posuwających się bez żadnych wahań do pewnych uogólnień dających wrażenie szkicu systemu filozoficznego. Rok 1879 przyniósł jeszcze szereg wierszy tatrzańskich Asnyka, jak „Ulewa", „Wodospad Siklawy", „Letni Wieczór", „Podczas burzy" i „Kościeliska" Wiersze te mają zasadniczą cechę wspólną: jest to obiektywna opisowość; praca raczej odtwórcza niż twórcza. Wizualność utworów i dynamika jest słaba; mają one raczej charakter statyczny. I w tych utworach pojawia się refleksja rzucona niejako na tło przyrody. Wreszcie rok 1880 przynosi ostatnie plony na niwie twórczości tatrzańskiej Asnyka. Są to następujące utwory: „Giewont", „Limba", i „Wstęp" stanowiący ramę tła całej grupy tatrzańskich poezji, które zebrane razem ukazały się następnie jako cykl „W Tatrach" Ostatnie wiersze wnoszą więcej wczucia się w przyrodę tatrzańską i zrozumienia jej swoistego piękna, niepodobnego do piękna innych okolic. Poezje tatrzańskie Asnyka to przede wszystkim zaprzeczenie tego ideału piękna, jaki głosił Goszczyński: to właściwie inne pojęcie prawdy twórczej. O ile dla Goszczyńskiego prawdą był świat fantazji chłopskiej i tworami fan-

tazji zaludnił góry — opowiadając dziwożony, wilkołaki, boginki i ucięte głowy, o tyle Asnyk odrzuciwszy tę prawdę — na jej miejscu postawił kult natury — czcząc ją jako zbiór powszechnych praw i rozumiejąc ją za pośrednictwem nauki Góral jako taki nie istniał ani dla jednego ani dla drugiego. Dla Asnyka był on po prostu siłą, której trzeba było użyć dla odkłamania poprzedniej epoki. Maciej Sieczka, niejako symbol górala, stał się dla Asnyka symbolem prawdy. Podziękowanie, z jakim zwraca się do niego, jest pewnego rodzaju credo pozytywistów:

„Mój przewodniku! Tyś mnie wiódł przez góry,
Dając mi poznać ich poezję świeżą,
Nagą, dziewiczą piękność jej natury,
Niezeszpeconą mdłych legend odzieżą,
Nierozdrobnioną na powszednie rysy,
Zdawkowe słowa, zdawkowe opisy.
Tyś ją pojmował swoim sercem prostym
Wiernie, jak staje wyciosana z głazów;
Nie pociągałeś fałszywym pokostem,
Co kryje nicość bezmyślnych obrazów:
Ale umiałeś jędrne znaleźć słowo,
Aby jej wielkość wyrazić surową.
Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej,
Bez wykrzykników i przenośni bladej,
I w dzikich formach, które ona sklepi,
Nie szukać natchnień niemieckiej ballady;
Lecz na nią okiem spoglądać Górala,
Co wszystkie wierchy rozpoznaje z dala".

Spoglądanie okiem górala ukazało się jednak niezupełnie, był to raczej teoretyczny postulat, który dopiero późniejsi twórcy wcielili w życie. W każdym razie „mdła odzież legend" i „kształty niemieckiej ballady" zostały odrzucone z całą stanowczością.

Poznawszy przyrodę tatrzańską, która tak silny wpływ wywierała i wywiera na umysły twórców, poczuł się Asnyk pociągnięty jej tajemniczą siłą i często chwile przeznaczone na odpoczynek spędzał w Tatrach. Jeszcze na rok przed śmiercią, bo w 1896 r. udaje się do Szczyrbskiego Jeziora, którego był wielkim miłośnikiem.

— — — — — — — — — —

Z pośród wielu talentów składających ofiary na ołtarzu Tatr — wyrasta potężny geniusz Kasprowicza dając w swej twórczości obraz zmagań duszy ludzkiej, silnych uczuć głębi myśli. Zetknął się poeta z górami, jako człowiek dorosły, jako twórca, który przeszedł cały szereg uświadomień, lecz ciągle jeszcze walczący, ciągle szukający swojego Boga, swojego stosunku do życia. Pierwsze tatrzańskie utwory Kasprowicza pojawiają się już w 1894 r. w czasopiśmie lwowskim „Tydzień", a w rok później w zbiorku „Miłość" ukazuje się wiersz „O poranku" mający również pewien związek

z Tatrami. Następnie, znowu na łamach „Tygodnia", pojawia się cały szereg wierszy drobnych i utwór dramatyczny „Bunt Kostki Napierskiego" drukowany jednocześnie w „Tygodniku Ilustrowanym". W 1903 r „Słowo Polskie" zamieszcza dwa utwory: „Wiatr gnie sieroce smreki" i „Wielkości wielki, głęboki, nieobjęty sen". Wreszcie pojawiają się całe zbiorki powstałe w Tatrach i o nich mówiące, jak „Chwile", „Księga Ubogich" i „Mój świat" Z innego rodzaju twórczości tatrzańskiej Kasprowicza należy wspomnieć: „Felietony z Tatr" pisane gwarą i zamieszczone w „Kurjerze Lwowskim" w 1896 r. Cechą zasadniczą wierszy tatrzańskich Kasprowicza jest ich ogólnikowość pojęta nie w sensie powierzchowności, ale jako sposób pisania unikający zlokalizowania danego utworu w pewnym określonym miejscu. Unika poeta dokładnego zaznaczania nazwy góry czy potoku, uważając to za rzecz drugorzędną, bez porównania mniej ważną od samego faktu istnienia gór i od ich wielkiego, transcendentego niejako wpływu. Chętnie natomiast opisuje stany przyrody wnikając subtelnie w ich różnorodność i różnorodność ich oddziaływania. Ukazuje obrazy ciszy wieczornej, mgieł nocnych, deszczu, czy wiatru halnego, poruszając tematy z lekkością i precyzją, i wydobywając z nich całą plastykę obrazu i słowa. Ulubionym zjawiskiem poety jest potok górski, zbiegający szybko w dół po skałach i piargach, nieskończenie wylewający całe zwały wód, a ciągle wzbogacany w nowe — tajemniczą działalnością przyrody Potok jest dla niego symbolem nieskończoności zjawisk przyrody, ciągle ekspansującej swe siły a wciąż ich pełnej. Przyroda, jedyna w swoim rodzaju, przyroda górska, ciągle obecna przed oczami poety stawia mu tysiące zagadek, dręczy nieodgadnioną tajemnicą, a równocześnie rozjaśnia inne zagadki i inne tajemnice dręczące umysł poety. Pierwsze zetknięcie z górami posiało w duszy Kasprowicza podziw zmieszany z lękiem i smutkiem na widok ich ogromu i samoistnego, niezależnego od człowieka życia. Zbliżając się do gór, poznając je, a równocześnie dochodząc ostatecznie do syntetycznego poglądu na świat Kasprowicz zmienia swój stosunek do gór. Zanika powoli lęk, groza, a tym samym dręczący go pesymizm; związek poety z górami utrwala się. Czynnik filozoficzno-refleksyjny, grający dużą rolę w twórczości Kasprowicza i kształtujący jego poglądy — spełnia doniosłą rolę i w dziale jego twórczości tatrzańskiej. W chwili zetknięcia się z górami w duszy poety wrzał bunt, dręczyła go zagadka bytu, męczyło istnienie nieszczęścia zła. Góry wytworzyły dysonans w pojmowaniu przez niego natury. Były one radosną afirmacją życia, pędem żywotnych sił i wyzwoleniem

istniejących w duszy możliwości. Gdy jednak w tej duszy tkwi zarzewie buntu, a umysł błąka się po bezdrożach zwątpienia, wówczas afirmacja życia staje się zaprzeczeniem własnej duszy, prowadzi do jeszcze większego rozdźwięku i buntu. Takie było pierwsze zetknięcie Kasprowicza z górami. Stopniowo, abstrahując narazie od filozofii górali, która duży wpływ wywarła na ukształtowanie ostatecznego jego światopoglądu, Tatry zaczynają przemawiać silniej do tego poety. Odczuwał on zawsze i rozumiał łączność duszy ludzkiej z absolutem, a przecież łączność ta nigdzie nie jest tak wyczuwalna, jak w górach, w zespoleniu się z przyrodą górską. Poeta posiadał pełną świadomość tego, że w przeżyciach górskich przechodzi o krok, ociera się niejako o tajemnice wszechświata. Charakteryzujące Kasprowicza czyhanie na Boga i na prawdę o świecie potęguje się w obliczu gór, gdzie obecność Boga jest niemal wyczuwalna. Poeta wśród grozy przepaści i halnego wiatru zarówno jak w istnieniu krzaka dzikiej róży wyczuwał istnienie potężne i tajemnicze, nieopanowane jeszcze przez umysł, ale podświadomie uznane i przyjęte — Ducha, Boga. Uświadomienie sobie tego zakończenia poszukiwań, przyjęcie prostego, jak u ludu góralskiego, poglądu na świat, odrzucenie wszelkich buntów, chociaż ich iskierki tliły zawsze na dnie serca poety — to zupełnie zmiana poglądu Kasprowicza na góry i ich wpływ. Zwyciężony, a może dokładniej mówiąc ujarzmiony został pesymizm, ustalony pogląd na najbardziej palące sprawy; w górach znajduje poeta potwierdzenie niewątpliwej mądrości życiowej, ową afirmację życia, która początkowo takim dysonansem zabrzmiała w jego duszy. Tatry przedstawiły mu się jako czynnik odrodzenia moralnego człowieka. Odrodzenie to przyszło wprawdzie do Kasprowicza inną drogą niż ta, która jest udziałem ogółu ludzi. Zdobył on odrodzenie przez dociekania myślowe i uczucia proste, nieskomplikowane. Dla innych Tatry dają odrodzenie stawiając człowieka wobec nieprzewidzianych niespodzianek i niebezpieczeństw, które wydobywają na jaw ukryte możliwości duszy. W ten sposób można Tatry nazwać szkołą bohaterstwa podstawą odrodzenia moralnego ludzi. Mówiąc o zmianie światopoglądu Kasprowicza nie można przemilczeć wpływu, jaki na umysłowość jego wywarło zetknięcie się z mieszkańcami Podhala. Zbliżenie się do górala nastąpiło równocześnie ze zbliżeniem do Tatr, i tymi cechami, które poetę najsilniej uderzyły, była fantazja, umiłowanie wolności i siła życiowa tryskająca po prostu z górali mimo nędzy, jaką większość z nich znosi, marnego pożywienia i nieustannych, uciążliwych wędrówek po górach. Poznając bliżej mieszkańców

Podhala zachwycał się poeta ich obyczajami, odrębną, swoistą, religijnością, a nade wszystko prostą i zdrową koncepcją życia. Ta góralska religijność i koncepcja życia wywarły bez wątpienia ogromny wpływ na ukształtowanie się tych pojęć u Kasprowicza. W ostatniej fazie twórczości, a zarazem w ostatnich latach życia, można z łatwością zaobserwować to zbliżenie się do chłopskiego sposobu myślenia, przyjęcie kilku prostych wytycznych, może nie tyle z głębokiego, wyrozumowanego przekonania, ile ze znużenia bezpłodną walką, z chęci odpoczynku, odprężenia umysłu w życiu prostym wzorowanym na życiu nie dręczących się zagadnieniami bytu górali. Te myśli, ślady powolnej ewolucji, rozpraszał poeta po licznych utworach w postaci lirycznych motywów dających plastyczny, głęboki, a indywidualnie odczuty obraz świata. Na lirykach, jako utworach najwłaściwszych dla rodzaju talentu Kasprowicza, najlepiej można obserwować tę ewolucję, jakiej ulegała jego dusza w drodze od pesymizmu, ciągłej wewnętrznej walki przepajającej go bólem — do spokojnej, a nawet radosnej postawy wobec życia i jego zjawisk. Liryzm utworów tatrzańskich poety wypływa z dwóch źródeł: z własnej duszy i otaczającego ją świata. Dwa te pierwiastki łącząc się z sobą dają obraz świata charakterystyczny dla Kasprowicza, łącząc melancholię natury z melancholią jego duszy, spokój i pogodę jednej — z ukojeniem drugiej. Początkowe wahania i rozdwojenie wewnętrzne poety odbiło się i w jego utworach. Walka bezlitosna, okrutna, chęć zniszczenia świata — siedliska wszystkiego zła uwidoczniają się w „Wietrze halnym" którego nieokiełznane i gwałtowne ataki budzą oddźwięk w sercu trawionym wewnętrznym buntem. Wiatr halny to siła, moc, druzgocąca na drodze wszystko, ale tą swoją mocą zdolna obalać zło. Mgły i deszcze — to tylko zamyślenia, zadumania, włóczenie się duszy po ugorach smutku i beznadziejności istnienia. Obrazy stanów przyrody — to obrazy stanów duszy poety, którego ogarniała bezbrzeżna melancholia, lub porywały wybuchy siły, zdolnej zmiażdżyć świat cały. W takich rozterkach płynęło życie poety, takimi rozterkami brzmiały początkowe jego utwory tatrzańskie. Z biegiem lat siła wybuchu malała, gasła, tląc jedynie zarzewiem, a duszę obejmowała coraz częściej cisza wieczorna, otulając ją, wraz z Tatrami, w zwiewny, biały płaszcz. Halny wiatr ścichł gdzieś, na dnie duszy i jeżeli się odezwał— to jedynie jako ów „Wiatr co zgina sieroce smreki" Melancholia i zadumanie, jakieś wewnętrzne ściszenie bije z kart jego utworów Aż wreszcie przyszła chwila, gdy poeta, przez całą głębię zmagań i dociekań, doszedł do tej prostoty,

która zapewne kiedyś była udziałem ludzi, do odrzucenia wszelkich dręczących zagadek, wobec jednej prawdy, że jest Bóg. „Księga ubogich" i jeszcze wyraźniej „Mój świat" stanowią dokumenty tej epoki. „Księga ubogich", jak stwierdza poeta, powstała w czasie samotnych wędrówek po Tatrach. Złożyły się na nią refleksje rzucane bezpretensjonalnie na papier, pozbawione wszelkiej „literackości" Mówią one same od siebie — prosto i bezpośrednio — dusza do duszy. Cała mądrość życiowa zawarta jest w kilku prostych słowach:

„Ta jedna, licha drzewina,
Nie trzeba dębów tysięcy!
Z szeptem się ku mnie przegina:
— Jest Bóg i czegoż ci więcej?!"

„Jest Bóg i czegoż ci więcej?" — to idea przewodnia zbiorku, motto wryte w umysł poety w czasie samotnego obcowania z przyrodą. Większą jeszcze prostotą, o ile jest to możliwe, odznacza się „Mój świat". Jeszcze dalej odsuwa się w nim poeta od wszelkich wątpliwości i zagadek przyjmując koncepcję życia od górali. Typowym dla tego nastawienia poety wierszem są „Przeprosiny Boga". Dwaj staruszkowie, w których ceper wmówił, że obrazili Boga, obmyślający umartwienia dla Jego przebłagania — i znajdujący Boga, jak zwykle, u siebie, w chałupie—to nowy pogląd samego Kasprowicza, który ściągnął Boga z nieba, odsunął Go od walki z szatanem zostawiając Mu gazdowstwo w sercach prostych ludzi. Codzienne troski i prace zajęły miejsce gigantycznych wysiłków dla zmiany porządku świata. Nastąpiło pewnego rodzaju przewartościowanie wartości, usuwające w cień obiekty dawnych walk i ukochań, a stawiające w pełnym świetle życie i wartość pojedyńczego człowieka ukrytego dotychczas w cieniu. Liryka Kasprowicza, ponieważ jest najpełniejszym obrazem jego talentu, ukazuje najwyraźniej całą drogę przebytą przez poetę, aż do ostatniej syntezy życiowej.

Inny charakter posiadają utwory epickie, szczególnie osnute na tle legend tatrzańskich. Do takich utworów można zaliczyć cały szereg wierszy opiewających legendarnego Janosika. Są to bądź legendy artystycznie przetransponowane, bądź osnute na tle legend wariacje. Cykl tych utworów zatytułowany: „Z legend o Janosiku" zawiera następujące utwory: „Narodziny i miłość Janiczka", „Janosik i kupcy", „Pieśń Janosika", „Żarty Janiczka", „W Bardyjowskim dworze", „Pogrzeb Janosika". Charakter utworów jest zbliżony do charakteru piosenek ludowych, utrzymany w tonie prymitywu, choć artystycznie przetworzony. Kasprowicz czerpał chętnie z piosenek góralskich i zbójnickich przytaczając je bądź w autentycznym brzmieniu, bądź z zasto-

sowaniem pewnych zmian. Zbójnictwo pociąga poetę kolorytem i plastyką obrazów — to też można u niego znaleźć sporo motywów zbójnickich. Począwszy od „Tańca zbójnickiego", będącego przetworzeniem i rozwinięciem znanej góralskiej piosenki, do pieśni o Janosiku, opartych na różnych źródłach polskich i słowackich, wszędzie widać znajomość legend i piosenek dotyczących omawianego tematu, jak i ogromne zainteresowanie się nim. Również i inne legendy znane były poecie: a więc legenda o Morskim Oku, znajdująca się w cyklu: „Baśni i legendy", zawierającym utwory prozaiczne. W cyklu tym znajdują się również legendy: „O śpiących rycerzach w Tatrach" i „O królu wężów i o walecznym a czystym młodzieńcu Perłowiczu", będące zebraniem i artystycznym spojeniem różnych wersyj omawianych legend. Wreszcie snuje Kasprowicz „Pieśń o Waligórze" baśń umiejscowioną w Tatrach. Zyskuje w niej niebywałą rytmikę wiersza, z powodzeniem stosuje powtórzenia i refreny na wzór pieśni ludowych. Wreszcie jedyny dramatyczny utwór Kasprowicza osnuty na tle Tatr — to „Bunt Napierskiego" Temat to znany, często wykorzystywany przez różnych literatów; akcja rozgrywa się za czasów panowania Władysława IV, gdy Chmielnicki pustoszył wschodnie rubieże Rzeczypospolitej i wzywał chłopów z innych okolic do powstania przeciw panom. Historyczna postać Napierskiego, syna krolewskiego, przewódcy buntu chłopskiego na Podkarpaciu — oświetlona jest przez Kasprowicza dość oryginalnie i—w pierwszym szczególnie akcie posiada wiele cech łączących z mityczną postacią Janosika. Za wskrzeszonego Janosika, Janosika, który przyszedł mścić chłopskie krzywdy, uważa go w pierwszym rzędzie Hanusia, córka Łętowskiego, znanego i cenionego gazdy, a sprzymierzeńca Napierskiego. Wątek romansowy: miłość Hanusi do owego Janosika i odpalenie drugiego konkurenta — Wasyla Czepca — stanowi ważny punkt akcji, która, dzięki zdradzie Czepca powodowanego zazdrością, zbliża się do rozwiązania, tzn. do schwytania przewódców buntu i oddania ich w ręce sprawiedliwości. Nie tyle jednak ważna jest sama fabuła utworu, z pewnymi modyfikacjami znajdująca się w dziełach innych twórców, ile tło i postacie występujących górali. Akcja rozgrywa się w chacie Łętowskiego na zamku czorsztyńskim. Utwór dramatyczny poza nielicznymi wskazówkami dla dekoratora nie zajmuje się niemal miejscem, w którym rozgrywa się akcja. Dane są natomiast postacie—tutaj pełne plastyki i prawdy. Umiłowanie wolności, a nawet nie tyle wolności, co nieskrępowanej niczym swobody pociągające za sobą niesubordynację i chęć zdrady—to cechy rzucające się w oczy przy scenie oblężenia Czorsztyna. Postać

Hanusi, mimo zaznaczonej miłości do Napierskiego i wierności wypadła mniej prawdziwie; zbyt mało ma ona w sobie namiętności i siły, właściwej góralkom, zbyt jest przewrażliwiona i dumająca. Realizmowi utworu można sporo zarzucić, ale zyskał Kasprowicz bezsprzecznie koloryt miejscowy specyficzny nastrój przenikający całą sztukę. Piosenki góralskie, pasterskie, zbójnickie, zapamiętałe tańczenie „drobnego", liczne opowiadania o wyprawach na Spiż i Oprawę po złoto, po honor zbójnicki, a nade wszystko mity o Janosiku — tworzą prawdę, nadają odpowiednią atmosferę uczuciową utworowi. Owe mity o Janosiku, który ma się zjawić nie wiadomo skąd, nie wiadomo kiedy, aby ratować braci — górali przed uciskiem panów; owa wiara w jakąś nadprzyrodzoną moc tego Janosika, który wszystkie przeszkody obali, wszystko zwycięży i celu swego dopnie — to ta półbaśniowa postać unosząca się nad sceną stwarza specyficzny nastrój i sprawia, że prawda tego utworu staje się oczywistą, nie ulegającą wątpliwości. Poruszanie tematów góralskich, wprowadzenie do utworów górali, świata ich wierzeń i fantazji — powoduje nieuchronne wysunięcie na jaw sprawy gwary podhalańskiej i ustosunkowania się do niej poety Kasprowicz gwary unika. Utwory jego pisane są językiem literackim; często zachowując formę utworu ludowego, często oddając prymitywizm umysłu — prymitywizmem koncepcji utworu, ale jedynie w doborze słów i samej technice wiersza. Pojedyńcze wyrazy gwarowe spotykamy w jego utworach (stosunkowo jest ich najwięcej w „Buncie Napierskiego"), ale całego utworu pisanego gwarą nie znajdujemy. Trudno określić, czy działało tu poczucie estetyczne poety czy też po prostu niemożebność wczucia się w tę mowę człowieka przybyłego z dolin i obcego duchem góralom. Możliwe, że jedno pociągnęło za sobą drugie. Trudno nazwać ten stan rzeczy brakiem czy walorem artystycznym poety; jest to po prostu jedna więcej właściwość jego twórczości, tej twórczości, która przez długie etapy walk i zmagań doprowadziła go do spokoju i cichego życia w cieniu gór, w poronińskim domu.

HANNA MARCZEWSKA

Co to znaczy · poznałem tę górę? Czy zwiedziłem wszystkie drogi nią wiodące? Czy spędziłam noc w jej urwiskach? Czy znam ją już w zimie i z wiosną, w zawiei i pod rozgrzanym słońcem? A przede wszystkim, czy znam jej syntezę, jej odrębny sens, którym odróżnia się ona od wszystkich innych gór świata?

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI (Z myśli o alpinizmie)

JANOSIK Z TARCHOWEJ

(fragment poematu)

Ej, w Tarchowej na Orawie w limbowej kolebce
u sosrębu się wysoko wykołysał dzieckiem.
Nim go wiater od Krywania owiał pod jedlami,
u pułapu smolistego wędził się z serkami
i z nawyku pod powałę rósł na chwałę górom,
a po ojcach miał—Janosik, a na chrzcie wziął—Juro.

Kołysała, hołubiła matka Janosika:
Lulaj luli, duży rośnij, rośnij na zbójnika.
Masierują przez Orawę cesarscy werbować, —
ej, nie budzies ty z giwerem, Juro, masierować!
Masierują po Luptowie cesarscy hajducy, —
ej, nie budzies z nimi chodził, Juro białorucy!
Jak po deszczu grzyby w lesie, rosną wieże zamków,—
ej, nie będzie rąk urabiał Janosik na panków,
będzie Juro se gazdował, bacował na hali,
a jak pójdzie, — leży w skrzyni siekierka ze stali.
A jak pójdzie, — za werbunek, za podwody, śtrafy
zadrżą zamki na Orawie, zbledną w zamkach grafy.

Rósł Janosik, wzwyż wybujał niczem młody bucek,
włos miał długi, śniade lica i bieluśkie ruce.
W ciemnych izbach chichotały jurne dziewki za nim,
przystawali w progu starzy, kiwali głowami...
A gdy halny zlizał śniegi gorącym językiem,
wiódł z liptakiem przez potoki dzwoniącą muzykę:
pohukiwał za kierdelem po wysokiej hali,
wieczorami z juhasami złote ognie palił, —
i śpiewali, wspominali staroświeckie czasy,
kiedy chadzał Waligóra z Wyrwidębem w lasy...
o dukatach pod Łomnicą... o dawnych zbójnikach...
Drżały gwiazdy Dech zamierał w piersi Janosika.

Szumi, szumi wiatr zielony w czubach smagłych jodeł,
pomaluśku przy szałasach cieknie życie młode:
kadź z żętycą, sera kocioł, wody dzban—to wiele, —
poznał Juro, co góralska nędza i wesele

Kiedy nocą posiwiały młodym śniegiem Tatry,
zazbyrkały owce we wsi, zastygł popiół wiatr i
spod jarzębin na czerwono malowanych mrozem

powracali hucznie, gwarnie za bacowskim wozem.
Przodem kroczył moczygęba kobziarz Witek Werej,
nadążali za dudarzem z gęślikami czterej —
i toczyła się pijana pasterska muzyka, —
w takt kołysał się na wietrze warkocz Janosika
i do taktu uderzała o kamienie pięta,
haj! ślepiami go z za płotów zjadały dziewczęta!
Brzeżkiem ścieżki za gromadą z kozłem na ramieniu
ledwie włóczył nożyskami polowacz—Krzyś Kleniuk.
Aż otwarły swe ramiona pochylone wrota
i rzuciła się w nie z krzykiem góralska hołota.

Wylazł księżyc nad żydowską sień i nie zachodzi,—
ej, hulają u Fefera przez sześć nocy młodzi,
dudnią dyle pod stem kierpiec, a bodaj to diasi!
to tańcują, popijają Tarchowianie nasi!
Stoi karczmarz za szynkwasem, broda mu się kiwa,
woła Juro o palonkę i o achtel piwa,
jak mu parsknie w rude ślepia i popatrzy zbójem,
to na wieki wieków amen zaraz żyd zborguje.
Dudnią dyle pod stem kierpiec, fruwają spódnice,—
ledwie Juro okiem strzeli, już ma tańcownicę
i jak kucnie, jak się zwyrtnie, a bodaj to diasi!
ej, hulają u Fefera Tarchowianie nasi!

Wyje zima. Eh, kąsają lodowate gęby,
że aż trzeszczą suche gonty i kamienne zręby, —
piszczy bieda podhalańska u gazdowskich progów,
wlecze cygan dzieci borem i wymyśla Bogu.
Na podwieczerz przy kominie ugwarzają starzy, —
w rudym zmroku się chybocą cienie złych cesarzy
przyszły wieści od spiskiego Kiezmarku, że ninie
nie przepuści Miłościwy najlichszej dziedzinie,
że z piarżystych żlebów w Tatrach i z jałowych grani,
jak przydusi chciwy żupan, nawyciska danin.
Porozdziawiał śmiech im gęby od ucha do ucha,
ano leży od przypadku w kącie wszawa cuha!
Bo kto widział, żeby kiedy sama sobie miska
wędrowała do Luptowa spod głodnego pyska?

Opowiadał Jano Gadasz, że już—hań w szatmarskim
palą chłopi pańskie dwory wieszają cesarskich,
że przez las madziarskich winnic wielki rozruch idzie,
tylko patrzeć, a niedługo na Orawę przyjdzie,

chytrze przywiódł, jak to Ciorsztyn lascy chłopi brali,
jak szczerbiły się o skarpy topory górali...

Na przedwieczerz kurząc tabak ugwarzali starzy,
słuchał Juro zasępiony i wzrok mu się jarzył.
Dumał Juro. Mlaskał płomień czerwonym językiem
i niedobry blask rozlewał się nad Janosikiem.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

PRZEDWIOŚNIE W TATRACH

to koniecznie to —
blade fiolety z białych otuleń
z wdzięcznością że mijają przestworza
hale poranne
szaro śnią

smuży się welon ślubny
pierwszy ptak
ciężkie klucze lecących chmur rozpędza skrzydełkami
czy się odważy
śpiewać

promień na ustach spłynie
twoje barwy?
przejrzyste
barw nie ma

z chaty wyszła
zaplata warkocze
zarzuciła chustkę
spoziera w roztokę
oczekuje (a w roztoce barw nie ma)
właśnie trzeba (półśnieżny krajobraz)
właśnie trzeba jej krewkiego kraszenia

góry, dziewczyna, promienie,
lekkość nieuchwytnej woni,
uczucie przedlotne w ramionach
(ptak?)
nagi krzak, brzask rdzawy lemiesz

sina dal drzemie

w ramionach ptak)

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

TATRY

Posłuchaj — jak echo szumią nagie góry

Wiatr w zadymkę mgłę lekką śniegu skręca,
bije o turnie — ślepy, tonący w chmurach.

Słuchaj. Serce drży jak storczyk krwią splamiony
Wszystko jest trudem, dobywasz się z nędzy
i strachu: wysoki, dumny, z koroną
Tatr nad głową, oddaną wichrom.

W dole śpi białe jezioro. W nizinach
drzemiących drżą wątłe strugi zimnych deszczów.

To jest samotność! Czas dawny się ścina
w ostre kształty cieniów, zastyga i czeka.
Aż pęd nagły wichru o oddal uderzy
jękiem i ścichły nagle — runie w daleką
przepaść, otwartą błyskiem.

Zasypany jesienią, żółknący jak liście
starych buków nie pamiętam zapachu
opuszczonych siedlisk i domu. Święcę przyjście
grozy. Niebo walczące niosę jak wroga,
zdławionego w uścisku: ja, wicher.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

GNIAZDO

Waleremu Goetlowi

Jest takie gniazdo: bez dna.
W glob się tam wrasta z drzewem
i jeszcze głębiej: ze skałą.
Oddech nie powietrzem, ale chwałą.
Tatry Bez dna.

Bez wieka.
Ptakiem, obłokiem, wiatrem,
oszczepem zielistym smreka,
turnią, co niebo liże,
i niebem, które jest bliżej,
wylatuje się w bezmiar człowieka.
Tatry Bez wieka.

TADEUSZ BOCHEŃSKI

KAMIENIE

Nie uchylę cegłom serca
i ciosom z kamienia.
Czyż jęknły mury,
gdy marł Ojciec, Matka?
Zadrżały z zachwycenia
na dźwięk mojego „kocham Cię"
lub pra-krzyk drogi noworodka?
Nie obejdzie mnie bruk,
przez który dzień w dzień zmierzam:
chodnik, bezmyślnie pokorny
pod obuchem tysięcy nóg,
czy zahukana jezdnia,
bezduszny rynek tragedyj,
choć na nim bywa słońce tańczy
lub w jezioro leniwy księżyc się rozgwiezdnia.

Ale na zawsze wytrwa me serce
przy głazach, którym życie dał On,
czy to będzie kamień w potoku,
czy skalistych łomnic pion.
Bo głazy mnie rozumieją,
głazy wszystkie mnie w górę ciągną,
nawet taki w głąb ziemi zaryty,
bo też kiedyś z wyżyn patrzał w błękity.
Stromego mostu ze skał
cóż mi wadzi twardość odwieczna,
gdy on wędrowny mój syci pęd
w umiłowaną dal, gdzie rozpięta
między ziemią a niebem ścieżka?

Nigdy na głazy nie zaszemram,
na wapienie, na kwarce, granity.
Na pół-ziemskich, pół-niebieskich wsparta rachubach
długo, długo potrwa trudna
wspinania się próba.
Aż kiedyś, w godzinie dojrzałej,
w rozpędzie doskonałym
może we mgłach będzie podobłocze
a może w płomieniach skały —
odbiję się od jakiegoś wierchu
i w niebo skoczę...

STANISŁAW BĄKOWSKI

TATRY

— jaki hutnik odlał stal
na czarne ściany więzień
którymi wspinamy się w wolność

— beztroskie dziecię
pamiętasz
w słońcu z piasku tworzyłeś nowe światy
dziecinnie i nieomylnie.

— jak ja
babki z piasku
w pełni twojej krasy
weź w garść skał—panie—i nimi mnie zasyp —

leniwie się na skałach kochają obłoki.

MIROSŁAW STEFAN RADECKI

SŁOWA POWROTNE

Źródlany wieczór.
Bryły zmierzchu drążą dno potoku,
w grzebień świerków śpiewna noc narasta;
w świerkach księżyc szeleści: srebrnawo-obły kokon
i bielą prószy na drogę — szept naszych kroków zgasł tam.

Teraz tą percią wyżej. Żywica chłodu u ramion.
Dłonie się w wietrze zanurzą jak w drżącej powierzchni rtęci.
Tak cicho. Gwiazd gałęzie kołyszą się nad nami,
u nóg błękitna hala i zmięte ślady pęcin.

Tu zostać...
Na włosach twoich księżyc
— wśród świerków łabędź chmur.

Usta drżą w szczęściu — chcą nut...
Dlaczego w welon mroku owijasz swoją postać
i cicho odpływasz na wschód?

Oto się rzeźbią cienie na zimnej grani gór,
zgubione mgły zwierciadło opada na dno dolin.
W twoich warkoczach księżyc
wśród świerków łabędź chmur,
a postać twa w ramionach śpiących koleb.

IGNACY IGOŃ

SIKLAWA PIĘCIU STAWÓW

Cud rozszalałej wody, miraż diamentowy,
Wyczarowana wizja starego Böclina,
Kaskada huczy, szumi, piętrzy się i wspina,
Z głośnym jękiem opada w odmęt lazurowy

Śmigłe świerków kolumny dumne wznoszą głowy,
Łuk zimnego błękitu górą się wygina,
Bieleje smukłopienna, dziewicza brzezina,
Kraśne brusznice tkają dywan koralowy

Potężne skalne złomy, omszone wiszary,
Płynny żywioł okuty w granitu obręcze,
W mlecznych pianach się jawią złudne zjawy-czary,

Na rozpylonej wodzie słońce wiesza tęcze.
Niosą się jakieś szepty westchnienia, pogwary,
Nuta rzeczy wieczystych w tej melodii dźwięczy.

BRONISŁAW KRYSTYN WIERZEJSKI

ZAKOPIAŃSKIE PRZEDWIOŚNIE

Dziewczyna o modrych oczach wtopiona w zimowy pejzaż
głaszcze różową dłonią rozkołysane świerki.
Na niebie zapatrzonym w śnieg puszysty i miękki
słońce żółwiem złocistym pełza.

A ty, poeto, w ciszę szumiącą wtulony,
myślisz barwy drgające i kontury wypukłe,
odpływające w dal sanki zmieniają się nagle w dzwonek,
a z lasu narasta pociąg i niebo dymem oplata.

Gdy czujesz, że zieleń zakwitnie wspomnieniem z tamtego lata,
idź naprzód w biały horyzont i nie spoglądaj wstecz.

Ale nie można nie patrzeć, wieczny jest powrót i wiersz,
dawne zdarzenia wciąż kwitną. Liściem jesiennym nie uschną.

Ślę ci,
daleka Cecylio,
wiązankę liliowych krokusów

JERZY KAMIL WEINTRAUB

To są góry. Czwarta minut pięć. Wstajemy! — woła Adam. Otwieram oczy. W wykroju skały wąskie, zimne niebo. Wypełzam na jasny chłód. Ciało otępiałe ze snu budzi się pod wiatrem, szorstko szarpiącym wiatrówkę. Ach tak, nos błyszczy się, a powieki lekko opuchły Czy kochasz mnie jeszcze? — Chyba — odpowiadą wesoło, lecz zabrania mi się umyć; nie ma czasu! Nie pójdę się umyć, cała krew spierzchnięta jest od wiatru, dreszcz po niej biegnie wąski i ostry.

Będziemy eść śniadanie. Żółta jajecznica wzdyma się i dojrzewa w aluminiowej miseczce. W zapachu patrzenia przestajemy drżeć. Do rzadkiego kakao sączy się słodka i ufna strużka kondensowanego mleka. Biała strużka, jest w niej kolor śniegów, smak lodu i wmieszany w to smak mlecznej pogody. Pijemy pachnące, różowe kakao, górskie śniadanie. Sens pierwotny przywrócony został drobnym rzeczom, kromkom chleba posmarowanym zimnym masłem, drobnym, stulonym kwiatkom wyrastającym z grubej trawy. Inne życie, odległe, dużych spraw, uczuć przerastających małą obręcz ramion, tych uczuć bezsensownych, niepotrzebnych — zbladło, wypaliło się w wielkim krematorium osobności górskiej.

W cieple powoli rozszerzają mu się oczy w wąskich, ciemnych powiekach. Stopy Adasia w trzewiczkach, drobne i kształtne i silne, leżą na poprzek mych marzeń o skale. — Takie masz śliczne kolanka, Adasiu, taki jesteś ładny... Ale teraz jest czas mycia maszynki. Wzdycham.

5.15. Zdejmuję wiatrówkę i koszulę. Na niebie przeświituje lekkie słońce. Potok jest zimny i śliski. Świetlistość zwija się i rozwija, płynie po nim lekką, powietrzną falą. Gołe plecy Adama poróżowiały od słońca. Nic nie jest tak gładkie i matowo błyszczące jak te różowe plecy, po których drobnymi łezkami płynie woda.

5.26. Wyruszamy. Patrzę ku górom. Szare i dzikie, lecą po nich rzadkie plamy światła. Jest jeszcze zimno, trochę się ich boję. Wschodnie kominy są już rozświecone słońcem. Chroboczą i obsuwają się drobne maliniaki. Idę pierwsza. Spłoszone i niewyraźne myśli unoszą się nad maliniakami. W górę, koło potoku... Na lewo czarne wyżyny i kotły wspaniałego szczytu. Byłeś tam? — Byłem trzema drogami. Cóż ja... Śmieje się: Jeszcze tam wejdziesz. Trujące, żółte naparstnice wznoszą się do słońca Duże liście górskich podbiałów pękają pod butami. Szumi zbocze, strumyk zmniejszył się, cieknie trzema odnogami, rozlewa w drgające malachitowe błoto. Odwracam się na chwilę,

znowu patrzę z małej wysokości na zmieniającą się każdej chwili górskość, na część gór, któryśmy przeszli widzeniem, na część nas, którąśmy zostawili na nich, część lotną, nieważką jak przelot motyla. Adam uśmiecha się. O tak, jeszcze raz spojrzeć w dół, w opuszczoną dolinę. Potok ściemniał, ożywił się Ruda wścieklucha tarza się w brzegach, daleko pode mną. Ruszamy. Na gładkiej płycie zadźwięczał but szklisto jak głos ptaka. Na gładkich łatwych półkach jest miejsce na obie stopy. Gdy coraz stromsza trawa, podnoszę wzrok i poddaję się ulegle łące kwiatów górskich. Pachną kwaskowo i gwałtownie i inaczej niż kwiaty nizin, bardziej anielskie są ich kolory. Wiatr powiał w ich gwiezdne płatki i wydymają się jak drobne skrzydła, srebrniejąc od jedwabnego puszku. Rozchwiały się szerokie trzciny traw i szumią srebrnie, nie zielono. A drobne żuczki najzuchwalej w świecie wspinają się po wysokich łodygach miłosny po kruchych, fioletowych, słodkich trumnach dzwonków. Siedzę w spadzistych, suchych lśnieniach trawy i patrzę, jak kwiaty drżą. Na chwilę położyć się w nich, są świeże i delikatne, lecz ciężar ciała zmiąłby je, zielone zielne prześcieradło. Adam woła: tempo! Posłusznie przechodzę, opuszczam wiotkie, zielone pościele i wbijam się w kosówkę. Na lewo, percią myśliwską, drobną i wypaloną wśród spełzłych od słońca gałęzi— w bok. Okrążamy. Stromość podwyższa się, nasza przeszła droga spadła w dół jak kamień. Już jej nie ma. Szeroki żleb i baszta. Stromo. Adam lekkimi krokami zdobywa od niechcenia wysokość. Zacinam gorące wargi: naprzód. Stopniowo uspokaja się serce. Wiatr spryskany białymi iskrami słońca ochłodził twarz. Z szczeliny tryska drobny potok, źródło. Rozlewa się, podciąga, skacze, przyrósł białymi chrapami do płyt, obwąchuje je gniewnie, sapiąc. Stoimy na białym szutrze pod ścianą. Dźwięknął Adamowy czekan. Z rozkosznym, drażliwym szelestem rozwija się lina.

Siedzę oparta o plecy Adama. Pode mną długie piarżysko podejścia. Prosto na linii wzroku rysuje się droga, nowa droga, której jeszcze nie ma. Stroma rysa, wysłana u dołu kroplistą perłówką, jest bardzo wysoka, pionowa. Adam ostrożnie i pobłażliwie patrzy na ścianę. Nie był tam, ale ją zna, myślał o niej, oglądał ją z boku, z różnych stron. W palcach ma chwyty których może mu dostarczyć pójdzie je uklasyfikować, raz jeszcze sprawdzić siebie. W zawsze tym samym napięciu obmacuję uchwyt zawęźlonej liny. 9.50.—Proszę—mówię ustom Adama, odchodzącym od moich. Notuję jego lekkie i uważne ruchy Chyba tu się urodził, jak świstak, jak kozica. Wie o tym: „góry nic mi nie zrobią, one są moje" Ale zawsze trzeba uwa-

żać. Ściągaj linę. Stoję na stopniu zarosłym grubym futrem krótkiej trawy Gniotę zioła, a ręką sięgam wyżej. Jestem we wnętrzu rysy i nie ma już osłupienia nerwów, tylko radość i niemal krzyk obudzony ostrym zapachem skały.—Jestem, Adasiu. Kiwa mi głową, już jest wyżej. Tylko od czasu do czasu kamyk gwizdnie jak świstak. Głos otulony wysokością jest porozdzierany i nosowy. Zrywa się wiatr i zaciera słowa. Niebieska apaszka szczęścia odkleja się od szyi i fruwa sama. W wietrze, we włosach bijących po twarzy nie wiem już, czy idę na szczyt, czy do niego. Idę, wspinam się, wznoszę. Powietrze jest czyste i rwące jak pęd. Mija godzina wspinaczki, gdy coraz większe zielone głębie otwierają się u stóp. Zdobywam wysokość. W cieplejącym powietrzu góry ruszają się i płyną. W szerokich odbłyskach słońca widzę swoją twarz jak w szybie, skróconą i piękniejszą. Niziny położyły się pod nami i umilkły Lecz my wznosimy się stojąc. I obraz zmienia się i rośnie. Wytężam palce jak przy fortepianie. Tu cisza gra i wiatr. Zawrotny.

Rzucony w bok zawisł białawy trawers. Poziomym półkolem nad głębią. W dole spadzista otchłań, w górze główny szczyt zachylony za kępy skamieniałych włosów niższej jego głowy Przechylony wąziutki trawers: a więc idę pierwsza. — Boisz się? pyta Adam powtarza trzy razy nim usłyszę w wietrze. Nie. Nie boję się, takich uczuć nie doznaję, inna, górska, oszołomiona tęczą zdarzeń, których nie ma, a które dzieją się gwałtownie pod skórą, w falach krwi. Przyklejam się do ściany gzymsu. Brzuchem wyczuwam brzuch skały Dobrze tak stać. W dole szarawo i zielono. Mignęły koziczki jak meteory.

Macam trawers palcami: trudny i dobry. Czy możliwe, by pode mną była niezawodna śmierć. Słońce i cisza rosną i milczą. Skała pulsuje tym samym życiem co ja. A więc przejdę. I skupionymi, krótkimi ruchami naruszam osamotnienie tej skały. Jest ciepła od słońca i ode mnie, która w nią wrastam, wytrwale przyczajona. Ostatni krok nad ciepłą próżnią zamiast stopnia przesunął szczęście w radosny nosens. O twarz otarły się mchy sąsiedniej, naszej ściany Dobrze mówi Adam i beztrosko wzniósł się ponad trawers.

Dochodzimy do płyt. Z sztywnym, niemiłym zgrzytem zesuwam się na powrót, na to samo miejsce. Próbuję jeszcze, ale znowu mnie nie puszcza. Staję w rozkroku: tamtędy? Wypukła, gładka tafla nie daje palcom żadnej nadziei. Wbić w nią dłoń. I gdy wbijam i próbuję wysunąć nogi z eksponowanych stopieńków, zatrzymuje mnie błysk: stopieńki są poderwane.

Upewniam się na wiatr: Asekurujesz mnie solidnie? Adam szorstko: — Przejdź! Ocieram krople potu, wystąpiły ze złości. Nie można nawet palca w nią zagłębić, a jak jest na prawo? System trawiastych upłazków, tak płytkich, że zerwą się pod chwytem. Adam śpiewa zaczepnie, za chwilę krzyknie: chwyć się liny, wyciągnie mnie jak worek mąki. Zdejmuję buty turystyczne, nakładam trzewiczki, zaciągam sznurowadła, pedantycznie, aby zyskać na czasie. Stąd już nie wrócę. Gniew Adama zmalał w mojej walce ze ścianą. Nie puszcza na lewo, nie puszcza na prawo, a więc środkiem? Idę. Z góry widzi każdy mój ruch, — przechylony ciekawie śledzi mnie Nareszcie! myślałem, że chcesz tu nocować. Stopą z sznurową podeszwą wstydliwie brodzę po mszystych trawkach. Podnoszę się wyżej i przybijam do drobnych wyżłobień w murze, dziurek w serze. Powoli lewą rękę układam na skale, odpycham od siebie ten martwy, popielaty, spękany kamień. Prawą nogą rzut, w bok. Poszło. Poleciały spode mnie ciche szmery i drobny żwir, i rozdygotały krew Przywarłam. Miłosnym, bojaźliwym tarciem obłaskawiam potęgę. Czubek Adamowego trzewiczka srebrnie się zamglił. Zbliżam się do niego wolnymi, kocimi, pieszczotliwymi ruchami, niwelując ciężar i ciężar napięcia. Dźwigam się nad przewieszkę, nieruchomymi, martwymi falami wzdyma się kamień — odgarniam je. Drętwieją mi palce jak w groźnym śnie. Staję w miejscu Adama. Drżę. Adam notuje i ustawił kopczyk. Brązowa, chuda, roztropna twarz lśni od uśmiechu: — Teraz będzie już łatwo. Każda ściana ma swoje maximum trudności. Pocałunek przylgnął mi do wilgotnej szyi. — Ach, Adasiu, to był wątek dnia, te oszlifowane płyty, które przeszłam. Ciepłymi, suchymi palcami bierze mnie mocno za rękę. Czuję zapach jego włosów rozprzestrzeniającą się ufność. Godzina dwunasta.

Odpoczywam patrząc w wysokość lśniącą i słoneczną, załamaną w kosmiczny lejek. Niedługo szczyt. Wiatr zapienia jak wodę i rozrywa lśniące powietrze. Szu, szu, a dokoła cisza. Tak chroboczą kroki Adasia. Asekuruję go, rytmicznie popuszczam linę, którą Adaś wsysa za sobą w wysokość.—Do mnie! Ściągam linę! Staję na znieruchomiałych nogach. Łatwy, męczący teren wyrywa mi rumieniec spod skóry dyszę. W wysokim oknie skalnym, na pasku błękitu, twarz Adama zrośnięta z górami, czarująca i nagle obca. Śpieszę się, jestem, ach, jaki on jest! Z za węgła pod szczytem patrzy zwierzęca głowa, nieruchoma. Nie rusza się cienka szyja i wąski czujny pysk z różowego metalu, w słońcu. Dostrzegła nas. Patrzy tęczowymi oczami ze światła, patrzymy na siebie. Westchnęłam? Usłyszała?

Czmychnęła porywając za sobą kamienie. Adaś zrzędzi: — Nie ma kozic różowych, ściślej, kozica była brązowa, tobie zawsze inaczej się wydaje. Bywają za to kozice albinosy, ale bardzo rzadko, sam raz widziałem taką... — Biała jak śnieg — wołam z zachwytem ta właśnie była taka! Adam śmieje się, niedobry... Szczyt jest o metr od kozicy, od tej wnęki skalnej, w której ukazała się. Szczyt wysoki. Wiatr tuli się do kolan. Szczyty są prawie białe. Nie widać nikogo. Sami. Widok leży w przestrzeni jak światło. Odpoczywamy, lecz nie ma czasu, mgła poobiednia postrzępiła się białymi piórkami. 14.20. Adam podnosi się i tęczująco, w samą mgłę.

A teraz schodzimy, mijając upłazy. Na szerokim zachodzie nie potrzeba już asekuracji. Jeszcze czuję w ustach smak skóry Adasia i szukam sensu życia, ukradkiem, prędko. Pomieszało się życie ze snem. Schodzimy i niknie wysokość. Śpieszymy w dół, w dół, w dół. Pod jasnym, falującym zachodem, kosówka. Za kosówką potok. Cel dnia idącego do nocy: dom. Wchodzimy w lasek. Z gałęzi jak z powietrznych korzeni skaczę na inne gałęzie. Gęsta kosówka, czarna, rozlewna. Niechcący obsunąwszy nogę, dotykam dna ukrytego głęboko pod krzakami. Kłuje mnie w ręce, uderza po twarzy iglasty gąszcz suchy i gorzki, dziko pachnący. Wbrew woli zmieniam kierunek w skos, w haszcze, w dziewiczy gaj. Ocieram otarte palce, oblepiły się białym sokiem. Śpieszę się i wciąż, wciąż kosówka, pachnąca, lepka, głęboka. Adam mija mnie, płynąc po zielonej, elastycznej powierzchni. Zła, dzika, zawzięta, roztrzęsiona, namiętna kosówka otacza mnie ze wszystkich stron, nie wyrwę się, nie ujdę! Lecz przebijam się, walczę niemal o życie w dyszącym, twardym uścisku zieleni. Kopię ją, zjeżdżam i skaczę jak w gorączce i jak we śnie. Czuję w tym gorzką i niszczycielską rozkosz niwelacji w sobie myślenia, uroczą rozkosz niezamąconej biologii. Miękkie krzewy podprowadzają wreszcie nad pochylinę, w której roztacza się potok. A teraz przeprawa pod śliną tyskającą ze źródła, wejście w miękkie liście i trawy. Biegnę.

Godzina 16.50.: powierzchowne kąpiele w potoku, czerpanie wody. 17.15.: dymiąca kolacja, srebrnawe flaczki, pomidory rdzawe jak krew. Tort i lemoniada z konfiturami. Adam całuje mnie. A potem spacer i cięcie kosówki na lepszy nocleg. Depczę zawzięcie kabłąki ceglastych gałęzi. Wyciągam do Adama ręce lepkie od odurzającego brudu krzaków.

Czarny dach sklepienia koleby opada ciszą, zostawia szarawy, niebieski wykrój. Przez wszystkie tkanki pędzi łagodna krew. — Zaśnij, jutro wyruszamy — Dziękuję ci.

Tak. Z tobą, tylko z tobą dzień jest samotny, a obcość nie rani. Bo ty to prawie ja. — Jeszcze nie ma gwiazd. Ale gdy się obudzę w nocy, zobaczę je. Adam zasnął. Godzina 19.20.

MARIA SZCZEPAŃSKA

PRZEZ BURZE

(Fragment powieści)

Urwisko wrasta w niepokój jak pociąg przybywający. Dźwiga się nade mną jak chmura. Szarzeje ciemnym światłem. Gdy ja z kolei podchodzę, zniża się w dół jak winda.

Dzień od wschodu otwiera zwolna powieki mgły. Zużyte schody piargu podprowadzają pod pion. Oko szkliste pod bielmem mgławo roztrąca cienie. Smukłe łodygi traw smużą się w krótkim wietrze. Drżą nam ręce, gdy wiążemy się liną. I drży instynkt poddany sportowej pasji.

— Chyba tutaj—wskazuję przewieszony, mszysty komin.

Naokoło są ściany wynikające z piargu jak domy z bruku.

—Wybraliśmy najbardziej niedostępny—powiedział Witold Oldze, — gdy napierała się pójść z nami.

Bielmo powleka szarość. Komin wrasta w ścianę, która rozpłaszcza się w próg, zamknięty u góry otwartą przewieszką. Pod ścianą wgłębia się nyżą. Tu nachodzi nas pierwszy deszcz.

Wciśnięty w najdalszą głąb jamy, zżyma się Witold na nieoczekiwaną przeszkodę. Boi się bloków wyrywanych wodą z ponad i wrzucanych do komina. Męcząco przymyka oczy przy każdym większym wyrzucie rudego gruzu, przy każdej większej fali deszczem niesionego wiatru.

— Wrócimy?

— Nie.

Gwałtownie rwie wiatr chmury i niechęć. Cofa się deszcz, zrywa bielmo. Cichnie szum kamiennej strugi. Z parowów paruje światło czyste i wilgotne. Już rosa skalna lśni świeżym słońcem. Poruszamy się w suchej pustce. Milcząco oczekujemy przeschnięcia skał. Nastaje cisza i słyszę cykanie zegarka na ręce Witolda.

Z przewieszki ściekły wody, można iść. Wyliczonym wysiłkiem wyrzucam się na otwarte słońce. Dodrapuję się jakichś oparć. Rozkrzyżowany i giętki przełamuję próg przyjemnością sportowego ćwiczenia. Palcami rąk i nóg trzyma się istnienia powietrzne ciało. Mocno trzyma.

Trzydzieści metrów liny powoli wymierza odległość. Dowiązać! Skała czernieje i posępnymi słupami podtrzymuje górny

gmach. Górą ponad nami — szczyt jest wciąż niedostępną metą horyzontu.

Z trudnością łowię w sobie lęk, myśl podświadomą. Więc sięgam po hak. Hak wkłuty w szczelinę staje się pisanym stwierdzeniem wspólnej krwi. Symbolem społecznego porządku.

Witold dochodzi do mnie. Mija. Ma pokonać górny próg progu, górną przewieszkę.

Spada na nas ponowny deszcz z chmury opuchłej i wysokiej. Natychmiast uniedostępnia się przewieszka i marsz wzwyż.

Wrócimy?

— Nie!

Deszcz bije kryształem lodu. Przyrośnięci do haków, kulimy się w moknących skafandrach.

Przez deszcz przerywa się słońce, już znowu schnie skała, szybko i dokładnie. Witold wznawia robotę. Na migotliwej skale połyskują jego palce jak sprawne haki. Wzdłużonymi rękami dosięga środkowego słupa. Hak! Dwa metry drogi: dwa dalsze haki.

Doganiam go, wybijając po drodze żelastwo.

Przy słupie kościelne kaplice, w które chronimy się przed nową falą. O ścianę zaciśniętymi pięściami bije grad, lodowe kule pryskają na gładkim granicie jak tafle szkła.

— Wrócimy?

— Nie!

Na tle białego zamętu, przezroczystej chłosty i ciemności wnętrza, twarz Witolda, sucha i oporna, mieni się wątpiącym rozgoryczeniem, chęcią ucieczki, nienawiścią do obcych gór. Jest bezpieczny. Wiem na pewno że wygra. Jego niewinna oschłość umie sobie radzić ze skałą jak z płaczem kobiecym. Pomija je.

To jest lepsze niż lęk.

Oczy Witolda gorączkowo i nadaremnie szukają końca burzy Aż wreszcie sennieją i zamykają się powiekami. Pod dach grad nie wtargnie i można powoli zniknąć. A suchy skafander grzeje i pozwala bezkarnie mijać godzinom...

Wstrząsam się z zimna. Widzę góry spokojne i białe. To samo widzi Witold, woła, lina chrobocze i zesuwa się.

Wysuwamy się z nyż i prawie biegiem rwiemy naprzód. Wyprzedzić zmrok. Wygrać! Dyszymy ciężko, kryjąc wysokość szybkim, zdecydowanym pośpiechem.

Witold obejmuje głownię skalną jak partnerkę w tańcu. Już mu się znowu śmieją oczy.

Na szczycie wyprzedza nas ciemność w szybkości, przyszła szybko odrazu zewsząd.

Gwiazdy dopełniają nocy. Ale zmęczenie fizyczne, głód, zwycięska synteza widoku, mróz spadający ze zbliżonego nieba dają nam zachwyt i sen. Witold przylega do zielonego upłazka jak do kobiety. Ożywia się. Podaje jakąś cyniczną, ceglastą uwagę o Oldze. Śmieję się głośno, na zewnątrz, dorzucam drugi szczegół, (Olga to nicość. A przytem za uległa).

Potem Witold o dancingu. A potem o Zofii.

Zapomniałem, odpowiadam układnie.

Wycofuje się. Lecz jeszcze o Marię. I tym razem jest odpowiedź przygotowana i okrągła.

— Maria, ona jedna umie połączyć inteligencję ze sportem. (Sądzę, że to zdanie powinno mu wystarczyć). (Muszę być zawsze z tobą, bez przerw, jeśli mam żyć. To decyduje, Mario).

— Szkoda że ona mi się nie podoba.

Dla mnie jest ładna.

Jesteś więc szczęśliwy. Zazdroszczę ci.

W Witoldzie uwalniają się dawne i nowe opory w stosunku do mnie, i chciałby mi narzucić nadbudowaną serdeczność — ale ani myślę przedłużać rozmowy. Wprawdzie na tle gór i sprawności fizycznej męskość Witolda, zaznaczona jego swobodą w stosunku do przeżyć lirycznych, jest mi nie tylko sympatyczna i zrozumiała, ale wydaje mi się nawet godna zazdrości — ale ta ocena nic nie znaczy, równocześnie nie chciałbym być Witoldem. Porzucam więc „zwierzenia" i przymykam oczy. Tym bardziej, że nie unikam odczucia odmiennego nastroju otoczenia i nie usiłuję rozbroić się z pogardy. Ale że to twarde słowo, za ciężkie dla wiotkiego układu moich obecnych dni, wolę widzieć w Witoldzie zaledwie pospolite pobudki najprostszego życia mężczyzny bez skrupułów. Noc zastyga wśród powolnych gwiazd i skrętów chłodu, kolein nieba. Gdzież się podziało uwznioślenie Witolda, prowadzące aż do przypisania mu mocnego mitu draństwa Pobiły jednak góry Witolda i pewnie już nigdy nie pójdzie się wspinać na deszcz, chłód i niewygodę zaprasowanych spodni.

Poranny deszcz spędza nas do schroniska. Boisko gór zawęźla się nowym deszczem. W schronisku jemy obiad mdły jak niepełne myśli z gór. Po południu jest jeszcze zimniej, pod chmurą białą i zimową góry zamykają się w ociężałym śniegu. Oczekiwanie czasu rozstrzygnęło. Rzeczywistość spływa chłodna jak olodzone ramię góry której już nie zdążymy przejść.

Niegdyś nienawidziłem Marii za to, że we mnie tę rzeczywistość ujawnia. Dziś kocham ją codziennością, zmienianą przez nią w powieść. Uprawniła we mnie uzgodnienie życia

z konstrukcją myślową. Stworzyła we mnie wyrównanie rytmów woli i faktów. Ale Witold o Oldze i Zofii. Jest młody. Jest także inny niż ja. Powinienem myśleć o górach. Myślę o Marii.

Te słowa jej oddaję, biorąc miłość palcami, pocałunkiem, miłością. Ciepło zawiązani w mgłę, leżymy przed kolebą, pod mgłą kosodrzewiny. Jasny ideał ciszy zapalił się daleką burzą. Nie spostrzegamy, że deszcz? Spostrzegamy i chronimy się do śpiworów Świeca niech drga, aż się wypali.

To tylko sen. Deszcz pada. Marii nie ma.

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI

Z „DZIENNIKA TATRZAŃSKIEGO"

26.VII. [1927.]

Dzień wstał niebywale pogodny. Ani jednej chmurki nie ma na błękicie. Upał.

Opuszczam szałas, w którym nocowałem, i w Lesie przepadam Ciemnosmreczyńskim.

Las to jest, las! Ledwie z drogi zejdziesz udeptanej: mchów napotkasz grząskie manowiska, paproci rosłych kępy wystroszone, kłód przejących zawały olbrzymie, głazy w czapach napuścistych roślinności, a między głazami jamy czarne i głębokie, skąd się woń wytacza mocna, surowa, pierworodna. Smreki stoją na pokaz grube i strzeliste: prawdziwe wieże. Woda albo strugą płynie pawiooką, albo moczar tworzy tajemniczy i piękny, jak wieczorne marzenie chłopaka.

Lecz oto i na drogę potok ci się wtoczył sobiepańsko, a śniaty ją powalone brodłem przecięły rosochatym. Tuś jak jeleń przesadził przeszkodę, tam pod łukiem przechodzisz triumfalnym, ale głowę schylasz, bo się smrekowi nisko zwisnąć i konary rozczapierzyć spodobało.

Bywa tu nieraz bitwa pohukliwa i straszna: wicher halny bije się z drzewami albo knieję druzgoce lawina. Raz więc po raz wyjdziesz z boru na pobojowisko: zieleni się to trawą rzęsną i kosówką, pała słońcem, kamieniami wygrzanymi wonieje.

Droga zbiegła nad Koprową Wodę. Rzeka to już jest nie mała, przytokami suto wykarmiona. Płynie hucznie, w słońcu się tarza rtęciście, głazy białe, zęby urodne, w ucieszeniu, w rozpieszczeniu wyszczerza.

W samo południe zboczyłem do Niefcyrki. Wiedzie leśna drożyna coraz wyżej, na słońce się niekiedy wynurza i kwiatami wesołymi rozbłyska, lecz wkrótce znów uchodzi w gęstwinę, w smreki, limby i buki, w jaskrawą jarzębinę.

Na koniec naga skała. Przez konary najpierw mignęła bu-

raczkowo lecz za chwilę lasu już nie ma wcale: ona tylko, turnia szczerolita, ścianą pionową spod nieba spływająca, w majestacie tuż przed źrenicami obecna. Wkraczam na niewielką, zielskiem walnie zarośniętą polanę. Oko szuka znajomego szałasu. Serce bije głośno, niespokojnie. Zwyciężyłaś.

Szałas spalony. Został tylko bierwion nadwęglonych czarny, zapadły stos. Sucho, smutno.

Wstąpiłem na pogorzelisko. Rdzawy pierścień, szczątek żelaznego pieca, leży cicho w słonecznym upaleniu. Opodal drugi czerep, także rudy, także w słońcu, także samotny. Nad niskimi zwaliskami ścian bujają czuby chwastów. Odpowiedziałaby im głowa, kiwnęłaby im nieporadnie, serdecznie.

Tu ongi stały kwiaty w puszkach blaszanych, w słoiku. Zmieniałaś je, by ciągle było świeżo. Krywań cię radował wysoki: jakże tę radość pamiętam! Rzewność się w niej przesilała z wesołością, boś ty już zawsze taką była harmonią boleściwą a wraz dziecięco zdziwioną i rozochoconą.

Posiedziałem nad zimnym potokiem, co w parowie płynie pod szałasem. Potok się nie odmienił. Głazy leżą te same, pręty się te same chylą nad falami. Tylko ścieżka, co ku wodzie stopniami ongi sprowadzała, jest dziś zaniedbana i zniszczona.

Za polanką i czarnymi relikwiami szałasu zaczyna się znów las. Nie stoi zwartą ławą, lecz i słońcu miejsca ustąpił i barwistym kwiatom. Raz po raz mijam jednak wierną podobiznę puszczy: czarny, grzybem, próchnem i mokrzacią dyszący ostróg drzew. Aż dziwno, że tuż obok tyle światła.

Im wyżej, tym skąpsze zadrzewienie. Smreki, skorusza, karłowata wierzba. Subtelną niespodzianką zastępuje mi drogę dorodna róża alpejska.

Wchodzę w dziedzinę limb. Nie zrzeszą się te samotnice, nie stłoczą hardych czół. Spoli się za to kosówka, grzęby tworzy okazałe i niezmiar pola już pokryła. Spoli się drobnolistna borówka, ławicami rośnie ochoczymi, między kosówkę się wczołgiwa, pokłady kruszcu, płaty zielonkawego złota rozpościera.

Przecinam kamienisty źlebik. Białe kamienie, biała woda, białe nawet liście obfitej dołem wierzby. Powinno się to nazywać Białym Źlebem.

Ku Niefcyrskiej Siklawie idzie się od źlebu bitym ostępem kosodrzewiu. Spojrzysz z tej puszystej drogi na prawo: Gołe Wierchy Smreczyńskie pozdrowią cię z daleka. Gołe one szczytami, choć i tam trawnikiem ciągłym poszywane. Las pnie się ku ich piersiom, a już niżej istna parada lasu. W słońcu wszystko stoi, jak wymalowane. Tu blisko poznasz wiatr, lecz tam malowany, bezruchy obraz

Przecinam drugi żlebik. Mniejszy jest, ale skała, co próg nad percią utworzyła brunatny, ostrogami strużki wodne podbija i we mgłę je rozpyla kropelek. Wiatr ponosi kropelki, a słońce je w misterny, srebrny przeistacza fajerwerk.

Za chwilę staję nad Niefcyrską Siklawą. W cieniu płynie głębokim i zimnym. Oczy które olśniło słońce, widzą pianę w coraz innym kolorze.

Ścieżka zbacza na lewo i oddala się od wodospadu. Patrzę w Koprową, patrzę na ów malowany las i czuję przestrzeń, piękno i samotność. Wśród ogromnego piękna samotność aż zadziwia i trochę boli.

Potok znika niebawem pod głazami. Roślinność wygasła. Idę cieniem, zwaliną i martwotą. Skała obejmuje mnie coraz ciaśniejszym pierścieniem. Wstępuję w lejowaty, śniegiem wymoszczony kocioł. Pod kamieniami huczy głucho woda. Śnieg jest brudny i stary.

Dążę wyżej. Na słonecznym piąterku doliny jakże ciepło! Potok wyjrzał spod kamieni i stworzył mokradełko. Bujna oaza roślinności. Chwasty, trawy, kwiaty, a mięsiste, a soczyste, a wielkie.

Jeszcze jeden potężny, naroślami bul wydęty i stopniami połamany próg doliny i docieram do Niżniego Stawu Teriańskiego.

Z daleka, kiedy się raz pierwszy ukazuje, a słońce, jak dziś jest właśnie, kotlinę całą i Hrubego stok polśnisty zalewa, zdziwi cię ta woda białością. Szarawobiała jest i gęsta się wydaje, jakby ją kto wapnem albo kredą mieloną uczynił. Potem się kolory odmieniają, jak je narzuca wiatr, jak je po topieli wlecze obłok, niebem niespodzianie płynący.

Zostanę nad jeziorem do wieczora. Gdy pochłodnieje, zejdę w Dolinę Koprową i przenocuję w schronisku. Nigdy tam jeszcze nie nocowałem.

27.VII

Rankiem, kiedy słońce spoza Krywania świeci, a w Koprowej cień jeszcze leży chłodny, wyruszam ze schroniska. Znów ku Niefcyrce, choć nie dolina mnie dziś nęci, ale Krywań.

Z polanki, na której spłonął szałas, zwracam się percią myśliwską na południe.

Ledwie potok po głazach przebyłem, ledwie brzegu drugiego dotknąłem: patrzę, a tam las już słońcem ubarwiony. Niedbale, bez przeboru chluśnięto na gałęzie złotem roztopionym i miedzią. Wspinam się. Nie lasem, ale puszczą. Drzewa stare obok najmłodszych. Matecznik drzew. Ścieżkę, jak w Ciemnych Smreczynach, przecinają spiory kłód i całych smre-

ków, martwych już, ale rogatych i zadziornych, a wspaniałych nawet w obaleniu.

Przesadzam brodła i dążę coraz wyżej. Już ściany granitowe przebłyskują: mury Koryta. Las rzednieje. Limby pękate jak w głębi Niefcyrki. Trawa gęsta i bujna, niby runo zwierza. Borówki warstwy grube, rozłaziste, zaborcze. Płaśnia w końcu, na której kosówka grzęby tworzy spoiste i gawiedź drzewin plemi się liściasta. Młode smreczki wesołe, lecz nieobfite i nikłe. Najrodowiciej wyglądają limby. Krywań, słońcem niewidocznym oświetlony, wybujał w pustelnicze wysokości. I cudna jest ta ściana jego prostopadła, którą zstępuje ku Korytu.

Przechodzę suche, bardzo białe łożysko potoku, przebijam się przez gęstwę krzów Mijam drugie, już nie białe, ale srebrzystoszare, piękne kamienisko. Na chwilę wpływam w państwo słońca. Ogień Znad turni szturmem spada jadowitym. Dźwigam oczy: olśniewająca kula na samej leży grani.

Za chwilę znów cienisty, chłodny las. Ścieżka nie próżnuje: wciąż bystro w górę biegnie, a borówką się stroi przepastną, niby puchu metalistego otokiem.

Na prawo Krzyżne Liptowskie i Wierchy Smreczyńskie, długi, goły grzbiet. Cały w świetle, że oczy mrużę. Lecz właśnie ścieżka bieg uspokoiła; zniża się nawet nieco, by przeciąć Szkaradny Żleb. Otóż i on. Wyżnia Przechyba zielona trawą i kosówką, a słońcem tak zalana, że zda się przez szkliwo patrzeć, mistrzowsko, wyrafinowanie nałożone.

Minąłem zapadlisko żlebu i znów się wspinam w górę. Droga przewija się przez maleńką przełączkę, której prawy uszak stanowi efektownie spiętrzona, karłowatą limbą ukoronowana turniczka. Widok rozwarł się na Niżnie Tatry, na równie leśne, na Podbańska.

Niemal poziomo dostępuję bezimiennego siodła między lesistym Gronikiem a Niżnią Przechybą. Trawnik wygrzany słońcem. W powietrzu grają niezliczone owady. Wypoczywam i patrzę na niziny, na słowacki kraj. Osiedla jak zabawki. Zwłaszcza to jedno, większe i czerwoną dachówką niejaskrawo znamienne. Niżnie Tatry zagarniają wzrok. I tam by przecie powędrować kiedy należało.

Dalsza droga wiedzie południowym, zielonym zboczem Przechyby Wyżniej. Szczyt Krywania ciągle przed oczyma, lecz jeszcze daleko i wysoko. Jednostajna, żmudna ścieżka wlecze się pod górę nad ogromnym rozpadliskiem Wielkiego Żlebu. Przecinam wreszcie rozpadlisko i dostaję się pod południową grań Krywania. I stąd jeszcze nudnej drogi szmat, lecz za to

od przełączki nad Zielonym Stawem Ważeckim nie pamiętasz już nijakiej żmudy ani nudy.

Staw Ważecki zjawia się nagle. Jest cudnie, głęboko zielony, malowniejszy od wszelkich pawich ok. I te pasma Tatr w układzie nie widzianym, te szczyty młode i pierwotne, jak nowonarodzony glob! Wszystko na dłoni.

Ostatni fragment drogi pnie się po zajmujących skałkach, ale i człowiek zmienił się i leci teraz niby wiatr.

Niebawem łeb Krywania. Zdobyłeś go, lecz odrazu o zdobyczy zapominasz: pokorniejesz wobec majestatu, którym oddycha panorama.

Stawki Teriańskie tuż przed twymi oczyma. Niżni szczerze i soczyście granatowy, Wyżni lodem zbrojny i śniegiem przywiany. Pod Hrubym Wierchem śniegu moc.

W dali najhonorniejsze olbrzymy: Garłuch, Łomnica, mnóstwo innych. Zbiło się to za Hrubym, Szatanem i Basztami w mury słodkie, w gęstwę niewypowiedzianą.

Tatry Zachodnie w przymgleniu błękitnym, Niżnie w sinoszarawym. Ufnie w lasów objęciu leży Szczyrbskie Jezioro. Lecz oko tęskni ku olbrzymom. Wraca.

Tylko Niżni Teriański zawodniczy z nimi ścisłym, nadludzkim spokojem.

TADEUSZ BOCHEŃSKI

STRZĘPY

Piętnastoletnie serce bije równo i mocno. A jeśli pokocha, to na wieki.

Otchłań rozpaczy czarnej i bez dna. Bezsilność wobec ostatecznego słowa: śmierć. A teraz ten mur spiętrzonych groźnie olbrzymów, które stanęły w poprzek nieobeschłym jeszcze oczom. Groźnie, ale nie wrogo. Bije od nich potęga, która powstać zmusza— twórcza afirmacja, wola życia. Połyskliwa tafla jeziora wygładza troski na czole, a błękitny cud goryczek na hali każe się ustom rozchylić do uśmiechu.

Ślubowanie. Zakon. Kompleks Tatr.

Szesnaście lat — pierwokwiat uczuć. Irko, Irko złotowłosa, więc naprawdę wyjeżdżasz i nie zobaczymy już pewno nigdy. Na Nosalu list po raz setny odczytać. Więc to tak. Zmięta kartka papieru i niezgrabne zygzaki. A to zielone twe oczy płoną, a to brzmi śmiech twój, którego nie usłyszę więcej. A słońce leje z nieba roztopione złoto — twoich warkoczy. Zamknąć powieki i czuć na nich gorący jedwab włosów. Ach,

prawda, są... W bocznej kieszonce kurtki malutki promyk jasnożółtych nici — sentymentalny zadatek szczęśliwości. Palą oczy, które przesłania ciepła mgła roztkliwienia.

Ale góry. Twardy mur z granitu. Mur obojętności? Ach, nie.

Nazajutrz, wybacz Irenko, twój złocisty promyczek wiatr rozdmuchał nad stawem. Jasna przędza frunęła wysoko i spadła na gładź jeziora. Wracałem lekko i wesoło.

Czerwone łuny pożarów zapaliły się nad Europą. W ciężkich grzmotach armatnich, w suchym kaszlu kulomiotów, w krwawych mękach porodowych tworzyło się jutro narodów.

I jakaż tu w szkole nauka... Przez miasto kroczą konwojowani jeńcy. Przerażają obandażowane kukły rannych. Każdy dzień wali z nóg wiadomościami ze zbliżającego się frontu.

Spokojne góry wtopione w cichą powierzchnię stawu. Aromat rozpalonej w słońcu kosówki. Rześki wiatr na wysoczyźnie. Mity. Tego nigdzie nie było i nie ma. Pachnie krwią i dymem.

Daleka Ukraina. Ósma klasa. Nienasycony głód książek. Odkrycie Skandynawów. Pławienie się w Ibsenie, Strindbergu, Björnsonie i Hamsunie. Almanachy „Fiordów". Ostre paroksyzmy nostalgii. Ale Polska to tylko góry. A potęga ich szczytów to symbol tworzącej się niepodległości. I radosna niespodzianka: Tetmajer w bibliotece, „Legenda Tatr" w szacie rosyjskiej. Dziwaczne nazwy: Janosik Nendza Litmanowskij, Marina iz Grubawo. Czornoje oziero. A przecie spoza tych egzotycznie brzmiących słów otwierały się oczom serdeczne, znajome obrazy.

Stary Kozak, zdziwaczały łacinista, witał klasę rzymskim pozdrowieniem, siwa Psła toczyła wody do Dniepru, granitowy Charitonienko dumnie wypinał swój brzuch cukrowniczy w ogrodzie — a oto nie było Ukrainy ani „sumskoj aleksandrowskoj gimnazji", nie było wojny i szpitali przepełnionych rannymi, tylko Maryna zapatrzyła się w czarną toń stawu, Janosik chylił się nad kopczykiem dziecięcia w Batyżowieckiej, a Sablik gasnącym spojrzeniem żegnał oblodzone Tatry.

Pierwsze niedołężne próby literackie. Naiwna „Legenda stawu". Niedokończona (na szczęście) powieść: „Córka gór". Tło — Tatry, treść—miłość, bohaterka — studentka-góralka, typ londonowskiej Pauli Forest.

Czerwone dni rewolucyjne. Żar dysput akademickich. Purpurowe sztandary na niebie, płomienny wyraz „Wolność" i gorące dwudziestoletnie serce.

Błękitne południa charkowskie. Niebo nasycone gęstą ultramaryną. Zielone pęki w parku, zadumy nad mikroskopem i wiersze przy stole anatomicznym.

I pierwsza prawdziwa miłość. Dni gorączkowych marzeń, bezsennych nocy i kartek drobniutkim zapisanych pismem. Żarliwe i śmieszne erotyki, w których uczucie do kobiety łączyło się z wcześniejszym umiłowaniem Tatr. „I kiedyś przyjdzie wymarzona chwila, kiedy wraz z tobą iść będę przez góry. Wokoło skały szare, blado-lila, nad nami słońce i nieba lazury". Marzenia o wspólnych wycieczkach, milczących zachwytach nad zielonymi lustrami jezior, w cieniu śmiercią zionących ścian. Miłość zespolona z naturą w nierozerwalną jedność. Prześliczne chwile Rafała i Heleny wśród łąki-kochanki przybierały w tych rojeniach realne, choć inne niż u Żeromskiego kształty. Bez tego tragicznego końca. A gdyby... Więc razem. Śmierć w górach — najdumniejsza z śmierci. Ale Tatr na razie nie ma. Tylko kasprowiczowskie wiersze w parku: „Rozmiłowana, roztęskniona Hen od wieczornej idzie zorzy Zamykać Tatry w swe ramiona".

Ciszę przerywają rzadkie strzały rewolwerowe. Czasem przejdzie pijany żołnierz nucąc „jabłoczko. da kudy katiszsia?" Oficerowie niemieccy jadą konno po trotuarach. A pod kasztanem w ogrodzie wpatrzony w szmaragdowe oczy koleżanki medyk widzi w nich toń Zielonego Stawu, a czerwone wargi studentki mają smak maliny w Roztoce.

Po pięciu latach znowu Tatry. Tu jest dopiero naprawdę powrót do ojczyzny. W dalekim mieście ukraińskim, pod którym już z kolei rządem, pozostała pilna słuchaczka kasprowiczowskich wierszy. I to mąci radość powrotu, powoduje jakąś niezupełność wrażeń. Wraz z iglicami wierchów strzela w niebo wysoka tęsknota do tej, która jeszcze Tatr nie widzi. Ale granitowy mur olbrzymów na hali poznaje w młodzieńcu piętnastoletniego chłopca, który tu przed laty tłoczące brzemię swej rozpaczy złożył. I Czarny Staw wita go pomarszczoną płaszczyzną.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę „Kameny" na drugie półrocze (2 zł. 50 gr).

Czytajcie i rozpowszechniajce „Kamenę".

Jednajcie nowych prenumeratorów.

KAUKAZ

U stóp moich Kaukaz. Sam depczę ten wierch —
Urywa się otchłań ku śniegom i źlebom.
A orzeł ze szczytu się zerwał pod niebo
i w górze zawisnął czatując na żer.
Stąd widzę, jak rodzą się w górach strumienie,
i słyszę lawiny toczącej się grzmienie.

Pode mną pokornie przepływa zwał chmur
i przez nie szumiące rwą w dół wodospady,
pod nimi skał nagich się piętrzą gromady,
a niżej mech skąpy, kosodrzew i bór,
a dalej już gaje, zielone przestrzenie,
gdzie ptaki szczebiocą, gdzie skaczą jelenie.

A tam już i ludzie się gnieżdżą wśród hal
i owce pełzają po stromej uboczy
i pasterz zstępuje w doliny ochoczy,
gdzie w cieniu Aragwa w rozgwarze mknie fal
i czai się jeździec w wąwozie ubogi,
gdzie Terek wciąż igra w radości swej srogiej.

Wciąż igra i wyje jak lwiątko zza krat,
gdy z klatki swej ujrzy rzucone mu kości,
i wali o skały w bezsilnej wściekłości
i falą swą głodną brzeg zlizać by rad,
Na próżno. Ni pokarm dla niego, ni spokój.
Bo zewsząd huf groźnych olbrzymów go okuł.

ALEKSANDER PUSZKIN
Spolszczył K. A. Jaworski

WŚRÓD MGIEŁ

Mgły wyżyn, niosę wam serce swoje nagie,
pancerzem czystości okujcie mnie grubym,
by nie uległo grzechom w chwilach zguby
Wy, róży skalnych dawczynie dla złomów,
drogiej wilgoci tchnijcie w dłonie moje.

Mgły wyżyn, jako Mojżesz wśród was stoję
i Gospodzina przeczuwam w obłoku.
Na święte-m wstąpił miejsce, więc się boję
wielkości misji, którą na mnie włoży,
gdy w głosie gromu zagrzmi słowo boże.

JAN SMREK
Ze słowackiego spolszczył Antoni Brosz

NA SCHYŁKU TRZECIORZĘDU...

Na schyłku trzeciorzędu
w miocenowym śpiącym słońcu
uganiał duch mój tędy.
Widziałem parę
i ląd, co w grozie fal bijących
wyłaniał się z mórz odmętu.

Na stromych skałach,
któreście dziś nazwali Tatry,
sypiałem zmęczony:
piekielne ognie —
jakżeż to huczał morski krater,
otchłanie z każdej strony.

Widziałem morze odchodzące
na zachód i południe
przez długie tysiąclecia,
jak się staczało do snu słońce
krwawiące żarem
w nieskończonego mroku sieci.

Witałem upał zwrotnikowy
w niewoli płazów,
podobnych want olbrzymich zwałom.
A po milionach ciągłych przemian
zaczął kiełkować świat tu nowy —
las wątły wparty w skały.

Przodkowie moi—wszystkich pomnę—
wtargnęli gwałtem tu od wschodu
w doliny z rykiem nieprzytomnym
i walcząc z drapieżcami
wznieśli szałasy mego rodu.

A z nimi przyszli tu bogowie,
zdobyli razem te ostępy.
Dziś już jedynie wiatr opowie
legendy martwe,
ale w Tatrach
płonie pogański ogień święty

Widzę ich w nocy,
gdy wichry się szamocą,
zbliżają się wściekli ku mnie
i budzą we mnie człowieka
odwiecznej walki
przy starym ojcowskim gumnie.

Daremnie, daremnie:
ojcowie pomarli,
synowie walk nie znają.
Och, życie sztuczne, tchórzliwe,
a cóż wnukowie poczną
w ojczystym moim kraju?!

LIUDO ONDREJOV
Ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski

NA SZCZYCIE

Tu składać pieśń, tu śpiewać pieśń,
tu związać w snopy słowa siłą nabite!
Otwórz się, serce moje,
o głowo, kąp się w błękitach,
póki nie padniesz zmroczona,
gdy zacznie bić świateł ulewa z gwiazd,
a pieśni jak orły poniosą się z gniazd.

Ja składam swą pieśń, lecz nieudolnie
plącze się język,
choć piję namiętnie melodię rzek
płynących po szczytach od wieku po wiek.

O, nie nazywaj mnie bardem, mój miły,
bom czerwiem tu jeno pod kopytem siły.

JAN SMREK
Ze słowackiego spolszczył Antoni Brosz

NAD CHMURY

Nad chmury, nad chmury, bracie!
Wyjdź w góry, nie truchlej w chacie!

Na wierchach samotnych cicho:
nie sięga tam ludzkie licho.

Nie wrodzą wiosenne dury:
nad głową wiatr, u nóg chmury.

Lecz piękniejsze śniegów błyski,
niż powódź, tucza, grad niski.

Piękniejszy chłód, pustka szczera,
niż ból, co w dolinach wzbiera.

Wszechświat będzie ci pastuchem,
ty sam sędzią, sam otuchą.

OSYP MAKOWEJ
Z ukraińskiego spolszczył Tadeusz Bocheński

GÓRY

O góry, wysokie góry!
Drzemiecie sobie w oddali
i nigdy się w waszych piersiach
serce jak w nas nie rozżali.

Nie znacie strachu i nędzy,
co ludzkie wesele niszczy.
Dzień wasz spokojny i piękny,
noc gwiazd fiołkami błyszczy.

Nad misą waszego cienia
księżyc się toczy i srebrzy.

Gdzie świerki, to ciemionami
w niebieskim skąpane cebrze.

Przestworem dźwięki trąbity
od płoni fruną do płoni.
Pan waszych pustaci, niedźwiedź,
po debrach błądzi, gomoni.

O góry, kochane góry!
Drzemiecie sobie w oddali
i nigdy się w waszych piersiach
serce jak w nas nie rozżali.

MYROSŁAW KAPIJ
Z ukraińskiego spolszczył Tadeusz Bocheński

Jakiż niepokój mnie pędzi
Wciąż w krain górnych przestrzenie?
Czy-m liść, co opadł z gałęzi,
Który zimowy wiatr żenie?
Czy-m ptak, co burzy jest znakiem,
Który błyskawic czas wróży?
Wzbija się w niebo zygzakiem
I skrzydłem kreśli je w górze?
Czy-m siejby tchnienie, co wionie,
Tchnąc życie w pustym gór świecie,
By rzucić zieleń i kwiecie
Bezpłodnym skałom na skronie,
Bezpłodne serca rozkwiecić?

Uciec! Odejść! Tam, w kraje czystości i bieli,
Zanurzyć się znów w ciszy przeźroczym kryształe,
Błądzić wzrokiem po śniegu wiecznego pościeli
Szarzejącej bez lśnienia pod nieba woalem.
Opierać się o skały odarte z zieleni,
Być świadkiem nieruchomym samego odlotu
Mgieł, co pragną z orłami pobujać w przestrzeni
Przez dzień cały, wśród wiatru słabego nawrotów...
A gdy wieczór nad jezior stężałą już tonią
Rozsnuje sieci szare, kędy sny się chronią,
Zamknąć oczy, spragnione zapomnienia łaski,
By rozewrzeć je znowu — na lodowców blaski.

Unoszona przez pociąg lub marszu godziny,
Czego szukasz, przeróżne witając krainy?
Wciąż jaśniejszego mych myśli obrazu,
Kiedy się z marzeń mgławicy wyłonią...
Ja sama jestem tą, za którą gonię...
I którą znajdę może w czerwca ranek złoty
Na halach strojnych w zioła, w traw puszyste wiechy,
Lub na stokach gór stromych, wśród żaru spiekoty
W gęstwie leśnej, gdzie upał tamuje oddechy.

O, melancholio górska, rozwarłaś mi dźwierze,
Gdym przybyła śpiewniejsza niż źródlane wody,
Rozkwiecona jak ogród, z sercem bardziej świeżym
Niż mech, skryty w południe wśród lasu ochłody.
...Na skał czole wyniosłym
Coś kłębiło się... rosło...
Świątyń kształty — bóstw zjawy
Orszak wiodły w szlak mgławy...
Nazbyt nikłe, mdłe mgiełki
Mknęły przez was, o wierchy!
Wyście zdały się rade
Widm tych witać gromadę
Jak towarzyszy droższych niż złote dni letnie...
O, ten cień, co na serce padł dwudziestoletnie!

Góra schylała zwolna nad maja weselem,
Nad janowcem, co złotem trzeszczącym wystrzela,
Nad krótką koniczyny krasą płomienistą
Swoją boleść dostojną, głuchą, uroczystą.
Nie mogłam się z nią rozstać! Marzyłam wśród świata
Zakochanych, na równi niskiej, całej w kwiatach,
O tej dziwnej obcości gór, skąd urok wieje...
I w życia mego zmiennej, tułaczej kolei
Do najszczęśliwszych liczę dni, w których mi dano
Porównywać łagodną tęskność zadumaną
Duszy osamotnionej pod cyplem wyniosłym
Z bólem, którego ostrze (czułam to w mym łonie)

Czarną igłą ku górze tryskało i rosło,
Wynurzając się z jasnych mej młodości toni.

Ślizgające się wiecznie krople wód po skałach
Kołysankę śpiewały—ból mój ścichał przy niej...
Ale uśmiechem bogini
Góra ku sobie mię zwała.

ROSE BAILLY („Alpes")
Z francuskiego spolszczyła Jagwiga Ważewska

KOSODRZEWINA

Byłabym drzewem dużym, mocnym,
Lecz śniegu brzemię,
Wiatry południa, mróz północny,
Cisną mnie w ziemię.
I los mnie zmusił taką być
W gromady tłumie, —
Kto biedy swej nie musiał kryć,
Mnie nie zrozumie.

MARTIN GREIF
Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

ODGŁOSY GÓRSKIE SŁYSZĘ

Spoczywam w blasku lodowca,
W wysokich Alpach leżę,
Do snu utuli mnie owca,
Pieśń chłopców lub ryk zwierząt.
A gdzie spoczywam, syty łask,
Wśród ciemnych, leżąc grani,
Odgłosy lawin, burzy trzask,
Nie ściągną mnie z posłania.
I czarny orkan może wyć,
Giąć jodły, jak rzecz własną,
Nie słyszę wcale, mogę śnić,
Odlecą wichry, zgasną.
Brzmi jeszcze miły dzwonów ton,
Pozwalam mącić ciszę.
Wpatrzony w błękit tamtych stron
Odgłosy górskie słyszę.

CONRAD FERDINAND MEYER
Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

BIAŁY SZCZYT

Błyszczący szczyt góry widnieje nad lasem,
To woła, to nęci, to wabi mnie czasem.
„Co czynisz tam w dole w stłoczonej gawiedzi?
Tu w górze samotnie i w chłodzie posiedzisz!
Toń wody u stóp mych dziś wolna z okowów
Kotłuje się, wzbiera, wędrując w dal znowu,
I leże z mchów skalnych na ciebie już czeka,
Skąd droga w lodowce nie bardzo daleka!"
Tak wzywa mnie szczyt ów, gdy budzę się wcześnie,
W południe, i wieczór, i w nocy, i we śnie.
Więc jutro wyruszam! Daj tylko mi spokój!
Niech zamknę wpierw książki i szafę i pokój.
Lecz dzwonków głos z hali przerywa wnet ciszę:
„Pozostaw te skarby! Przyjdź jeszcze tu dzisiaj!"

CONRAD FERDINAND MEYER
Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

Ukraińskie nagrody literackie Towarzystwa Literatów im. J Franki za r. 1936 otrzymali Natalia Korołewa z Pragi (II nagroda) za zbiór nowel „Inny świat" i lekarz z Warszawy Jurij Łypa (III nagroda) za opowiadania pt. „Notatnik" I. nagrody nie przyznano nikomu.

*

Ukazał się nowy tomik poezyj Światosława Hordyńskiego pt. „Słowa na kamieniach".

*

Jesienią zeszłego roku Słowacja obchodziła piętnastolecie zgonu jednego z największych swych pisarzy Svetozora Hurbana Vajanskiego, a 16. stycznia bieżącego roku upłynęła 90-ta rocznica jego urodzin. Z tego względu obserwować można na Słowacji duże zainteresowanie się twórczością wielkiego pisarza. Świeżo wyszły trzy nowe tomy zbiorowego wydania jego dzieł obejmujące jego studia o słowackich pisarzach, o poszczególnych dziełach słowackich pisarzy oraz jeden tom drobniejszych nowel Vajanskiego. Książki te wyszły jako tomy XVI, XVII i XVIII zbiorowych dzieł Vajanskiego i wydane zostały nakładem Maticy Slovenskiej w Turcz. Św. Marcinie.

*

Ostatnio ukazały się trzy nowe tomiki poetów słowackich. Iwan Krasko (Botto) wydał u Mazacza w Pradze zbiorek wierszy, obejmujący poprzednie zbiorki „Nox et solitudo" i „Wiersze" U tegoż Mazacza ukazał się nowy tomik młodego słowackiego katolickiego poety R. Dilonga zatytułowany „Mlady Svadobnik". Forma poezyj Dilonga zbliża go do surrelizmu. Wreszcie w samym końcu roku pojawił się nowy zbiór wierszy znanego lewicowego poety Fr ana Krala. Kral jest poetą proletariackim i na jego poezji znać silne piętno ideologiczne.

*

W dniu 26. grudnia zespół aktorski Slovenskiego Narodnego Divadla z Bratysławy udał się na tournée objazdowe do wschodniej Słowacji. Zespół zabawi tam cały miesiąc i zagra przez ten czas ok. 30 przedstawień, m. in. wystąpi w Koszycach ze znaną polską sztuką Szaniawskiego „Adwokat i róże"

NOTY

TRZYNASTY ROCZNIK „WIERCHÓW" za r. 1935 ukazał się pod nową redakcją prof. W. Goetla i J. A. Szczepańskiego. Założyciel i przez 12 lat redaktor organu P. T. T. prof. J. G. Pawlikowski postawił ten jedyny w swoim rodzaju periodyk w Polsce na bardzo wysokim poziomie. Sądząc z treści ostatniego rocznika „Wierchów", poświęconego głównie Łemkowszczyźnie (dlaczego dotąd nie uwzględniono jeszcze gór Świętokrzyskich ?), nowi redaktorzy będą kontynuować linię wyznaczoną przez ich poprzednika.

TATERNIK, organ Klubu Wysokogórskiego P T. T., doskonale redagowany przez J. A. Szczepańskiego obok rzeczy ściśle alpinistycznych zamieszcza nieraz opisy i wrażenia wycieczkowe o dużych walorach literackich. Na szczególną uwagę zasługują numery specjalne poświęcone polskim wyprawom na Kaukaz, Spitsbergen i w Wysokie Taury. W zeszycie lipcowym 1936 r., poświęconym pamięci Romana Kordysa, piękne wspomnienia o nim zamieścili m. in. Z. Klemensiewicz, J. A. Szczepański i J. Roguska-Cybulska, autorka interesującej książki dla młodzieży „Tajemnica Tatr" Zeszyt grudniowy 1936 r. przynosi fragmenty W Birkenmajera „Strachy na lachy". (Któż wyda spuściznę zmarłego tragicznie pisarza-taternika!). Prawdziwą ozdobą ze wszech miar zasługującego na uwagę pisma stanowią piękne ilustracje.

NASZ ZDOBYWCZY ALPINIZM stworzył już własną literaturę. Książki: „W walce o szczyty Andów" K. Narkiewicza-Jodki, „W śniegu i słońcu Afryki" J. A. Szczepańskiego, „Na szczytach Kordylierów" W Ostrowskiego, „Wśród polarnych pustyń Svalbardu" St. Siedleckiego i „Wśród gór Marokka" B. Chwaścińskiego i J. Wojsznisa to piękna, ożywcza

lektura dla wszystkich a zwłaszcza dla młodzieży, gdyż dokumenty te, świadczące o energii, sile woli, umiłowaniu piękna i szlachetnej ambicji naszych eksploratorów, mają pierwszorzędną wartość wychowawczą. Mniej by zapewne było objawów zdziczenia i barbarzyństwa, jakie stwierdzamy dziś z przerażeniem u niektórych studentów, gdyby młodzież taką się właśnie literaturą przede wszystkim karmiła. Pod względem artystycznym z wymienionych książek najwyżej stoi „W śniegach i słońcu Afryki" J. A. Szczepańskiego. Dużo wdzięku ma prosty, bezpośredni dzienniczek z wyprawy St. Siedleckiego.

TATRY I PODHALE Rafała Malczewskiego— oto czarująca książka, ociekająca najczystszą poezją. To nic, że niektóre zagadnienia potraktował autor zbyt pobieżnie że na pewnych partiach tej monografii zaciężył widoczny pośpiech, że Malczewski nie rozróżnia w piosenkach góralskich rymów męskich od żeńskich (str. 65), że i błąd językowy czasem się wkradnie (np. „nie udostępniły ją" str. 90). Z całej książki tchnie najszczersza miłość Tatr, duchem górskim ożywione tu są wszystkie kartki, a końcowe rozdziały (z lapidarnym, a jakże wymownym zakończeniem ostatniego: „Cóż? Miota tobą radość? Twoja jest ta ziemia!") są wspaniałym hymnem na cześć piękna przyrody tatrzańskiej. Obok „Na wysokiej połoninie" St. Vincenza „Tatry i Podhale" Malczewskiego są najpiękniejszą książką górską, jaka się ukazała w okresie powojennym w Polsce. Mnóstwo artystycznych ilustracyj jeszcze bardziej podnosi wartość monografii.

PODKREŚLILIŚMY KIEDYŚ wysoką wartość artystyczną „Koleby na Hliniku" H. i J. M. Rytardów, nazywając ją „bodaj najlepszą powieścią o Tatrach dla młodzieży". Nie możemy tego sądu powtórzyć o ostatniej książce tatrzańskiej Rytardów „Na białej grani", która zarówno pod względem fabuły jak i opisów gór czy fragmentów związanych z folklorem ustępuje poprzedniej publikacji.

JERZY E. PŁOMIEŃSKI, krytyk literacki, estetyk i historyk pracuje obecnie nad obszerną monografią o zagadnieniach ludowych w literaturze polskiej od pozytywizmu do chwili bieżącej. Kilka rozdziałów tej monografii (m. in. o Tatrach w twórczości Kasprowicza) pojawiło się w druku na łamach miesięcznika warsz. „Wiedza i życie" (Nr. 3—5).

GDZIE GODNOŚĆ I WSTYD? Już nie tyle oburza nas ponura komedia ostatniego procesu w Moskwie, gdyż reżim dyktatorski w Hitlerii i Bolszewii przyzwyczaił nas do najkrwawszych niespodzianek, ile zachowanie się przed tym procesem i po nim pisarzy rosyjskich w Sowietach. Luminarze literatury sowieckiej w specjalnych artykułach prześcigali się w używaniu najwstrętniejszych wyzwisk pod adresem oskarżonych („łotry", „szakale", „krwawe błazny", „gady", i t. d.) i niewolniczym płaszczeniu się przed „geniuszem" i „jasnym duchem" „ukochanego" dyktatora. A po ukończeniu procesu pisarze moskiewscy uchwalili rezolucję stwierdzającą, iż skazani „postokroć zasłużyli na ten wyrok", i domagającą się sądu nad „prawymi odszczepieńcami Bucharinem i Rykowem"

TRAGEDIA UNAMUNA. W styczniu zmarł w Salamance świetny pisarz hiszpański Miguel de Unamuno, który po wybuchu powstania opowiedział się po stronie rokoszan dopatrując się w ich akcji intencyj „chrześcijańskich" Gen. Franco mianował go za to rektorem uniwersytetu w Salamance. Wkrótce jednak złożono go z tej godności i poddano czujnej opiece policji. Unamuno, filozof i indywidualista, ze zgrozą patrzył na okrucieństwa faszystowskie i widocznie musiał się narazić władzom. Brak miejsca nie pozwala nam cytować opublikowanych zresztą w prasie zwierzeń pisarza uczynionych na dwa tygodnie przed śmiercią przyjacielowi Francuzowi i druzgocącego sądu o „niesłychanym, sadystycznym, okrutnym i bestialskim ruchu" Na pogrzebie Unamuna nie było zupełnie przedstawicieli rządu gen. Franca, który przed kilku miesiącami tak się reklamował tym, że autor „Mgły" popiera powstańców

UKAZAŁY SIĘ pod redakcją Andrzeja Kruczkowskiego dwa numery nowego miesięcznika „Lwów Literacki". Pismo, utrzymane w tonie poważnym i spokojnym, będzie, o ile się można zorientować, reprentowało poglądy humanistyczne i demokratyczne.

OD NOWEGO ROKU „PION" jeszcze raz zmienił redaktora. Jest nim obecnie W Horzyca, a podpisuje pismo J. Czechowicz. Dzięki tej zmianie „Pion" nabrał rumieńców. Zarówno treść ostatnich numerów, jak i nowa szata graficzna świadczą o tym bezsprzecznie.

NOWA KWADRYGA — pod tym tytułem została wznowiona dawna „Kwadryga". W słowie wstępnym „Po latach" redaktor St. R. Dobrowolski rzuca okiem wstecz na działalność zespołu poetyckiego i przyczyny upadku jego organu przed pięciu laty. „Kwadryga" wznawia „stare hasło sztuki uspołecznionej, sztuki nie dla garści wybranych, lecz dla mas ludowych" i otwiera swe łamy „dla wszystkich, którym los kultury opartej o demokrację jest jak własny" Nowemu pismu, którego ideały są nam jak najbliższe, życzymy serdecznie powodzenia.

NAGRODĘ MŁODYCH P. A. L., zgodnie z naszym przewidywaniem otrzymał Józef Łobodowski, obok Czuchnowskiego i Miłosza najzdolniejszy poeta ostatniej generacji. Jeszcze więc jeden liryk-laureat. Ale kto naprawdę czyta wiersze? Pisma poetyckie wegetują, nawet zasobny w fundusze „Skamander" już nie zamieszcza wkładek i przekształca się w kwartalnik.

JURY „WIADOMOŚCI LITERACKICH" uznało za najwybitniejszą książkę polską 1936 r. „Pamiętniki chłopów". Można rozmaicie zapatrywać się na tę niespodzianą decyzję, niewątpliwą rzeczą jest jednak, że ma ona duże znaczenie moralne i społeczne, jest bowiem, jak to trafnie określiła Dąbrowska, „manifestacja kontaktu między kulturą intelektualną a kulturą wsi".

„PROSTO Z MOSTU" było dotąd jednym z nielicznych periodyków tzw. „narodowych", które się czytało bez obrzydzenia. Żywo i inteligentnie redagowane starało się utrzymać poziom kulturalny, czym chwalebnie różniło się od większości bratnich organów. Bardzo więc byliśmy zdziwieni swoistym „podejściem do literatury" ryżowej szczotki p. Karola... skiego w № 8. Ironizując przysądzenie przez jury „W. L." nagrody autorom „Pamiętników chłopskich" a nie Kossak-Szczuckiej, autor felietonu tak oto stylem pierwszego lepszego endeckiego brukowca tłumaczy tę zbrodnię: „Po przejrzeniu 7 nawisk jury to całkiem zrozumiałe: Wittlin, Słonimski, Tuwim — żydotchórze-pacyfisty, dla których bohaterstwo średniowiecznych rycerzy jest niezrozumiałe... Po ojcu, po dziadzi — wiejskich pachciarzach — wszyscy trzej mają mocne więzy ze wsią, więc i nagrodę wsiowym ludziom oddali". Prawda, co za elegancja i dowcip? A tymczasem posłuchajmy, jak było naprawdę. „Żydotchórz-pacyfista" Wittlin, właśnie naprzekór temu, co o nim pisze ryżowa szczotka, wysuwał Szczucką do nagrody, tak uzasadniając jej kandydaturę: „Ogromny wysiłek cechuje „Krzyżowców". Autorka dotarła do źródeł kultury Zachodu i przeciwstawiła ją kulturze Wschodu po raz pierwszy, zdaje się, w polskiej literaturze. Mamy tu potężną wizję świata bizantyjskiego, szereg świetnych postaci z najsilniejszą postacią Piotra Eremity na czele. Dzieło Kossak ma doniosłość kulturalną—obojętnie przejść koło niego byłoby krzywdą dla autorki". Tenże Wittlin wraz ze Słonimskim i Tuwimem w głosowaniu eliminującym między Szczucką a Worcellem opowiedzieli się właśnie za pierwszą. W ostatecznym głosowaniu Słonimski nie oświadczył się za „Pamiętnikami chłopskimi". Ta sama prawdomówna szczotka przypisuje Dąbrowskiej „zazdrość na widok powodzenia Kossak" i roznosi plotki, że Iwaszkiewicz „nigdy nie uznawał kobiet", że pierwszy tom „Nocy i dni" wypożyczyło w Domu Akademickim 61 osób, a drugiego ani jedna", gdy „Krzyżowców" „wydzierają sobie w czytelniach" Ano może być i takie „podejście" do literatury. Ale cóż na to p. redaktor Piasecki, który dotąd dbał o powagę pisma?

JAKIM MIECZEM WOJUJESZ... „Zet" w artykule wstępnym nru 2. nazywa wolność, równość i braterstwo „masońskim tryptykiem ideologicznym". Wielkie demokracje Zachodu, zdaniem redaktora, są „w rękach międzynarodowki masońskiej", „Loże inspirują i dzierżą cugle, wykonując ukartowany od dawna plan uchwycenia rządów w Polsce—po śmierci Marszałka Piłsudskiego — w swoje ręce" A tymczasem posłuchajmy, co w № 1. organu katolickiego „Pro Christo" pisze p. B. Stański o propagowanej przez „Zet" filozofii Hoene-Wrońskiego. Filozofia ta „stanowi podstawę tajnej wiedzy pielęgnowanej w masońskim zakonie Martynistów" „Filozofia Wrońskiego w wielu punktach wyrosła na podłożu kabały i do dziś dnia stanowi niewyczerpaną wprost skarbnicę mistycyzmu żydowskich cadyków i rabinów cudotwórców". Biedny Jerzy Braun kreowany przez swych sprzymierzeńców na masona, cadyka i rabina!

kaj —

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. W. GUT. W WARSZAWIE. Z wierszy „Nie chcę bajki" i „Szept do promienia" nie skorzystamy.

P. ZDZ. K. w KRAKOWIE. Dziękujemy serdecznie za list. Niektóre z nadesłanych przekładów wykorzystamy w kolumnie poezji włoskiej.

P. R. SAD. w WARSZAWIE. „Maj" zatrzymujemy w tece.

P. ST. MIRT w BIAŁYMSTOKU. Z części materiału w przyszłości skorzystamy. Dziękujemy.

LIST OTWARTY

Szanowny Panie Redaktorze!

Wśród wielu definicji, jakimi hojnie szafują literaci, pisząc o swych kolegach, pojawił się nowy przydomek, mianowicie... „byk". We wzmiance, zdradzającej pewną dozę swoistego sentymentu, w „Kurierze Powszechnym", z dnia 25.I.1937 r. na str. 3-ej Jerzy Wyszomirski, autor tomu wierszy pt. „Niewczesne", poeta, felietonista i krytyk literacki skromny, ale nie pozbawiony inwencji — mnie właśnie obdarza tytułem „byka".

Czuję się tak zakłopotany, że nie widzę innego wyjścia z sytuacji, jak nazwać z kolei Wyszomirskiego... koniem, a jego stosunek do zjawisk dowcipu, kultury, litaratury i poezji — określić jako koński.

JERZY ZAGÓRSKI

NADESŁANE

„Anna" Aliny Segeń — niedawno wydana u Gebethnera i Wolffa — jest debiutem bardzo udanym. Ta książka, napisana najprostszymi środkami literackimi, ale ze zniewalającą bezpośredniością i z głębokim autentyzmem przeżycia, nie jest może dla czytelników, którzy w powieści szukają perwersyjnych smaczków stylistycznych lub wyrafinowanych refleksji. Ta powieść jest aż do naiwności prostą, szczerą i wierną relacją o nieszczęśliwej miłości Roberta i Anny: Anna jest ujmującym i subtelnym wcieleniem kobiecości. Robert ma szorstki wdzięk „mocnych ludzi" — kochają się nieporadnie i giną, ponieważ życie im się „nie udało".

Czytając tę powieść, dopiero zdajemy sobie przez kontrast sprawę, w jakie to perwersyjne zastrzeżenia obrosła literacka koncepcja miłości, w ile wstydliwych zamykana cudzysłowów! W powieści Segeń miłość jest po dawnemu i tylko miłością.

Niezwykłość tego debiutu polega na tym, że nic w nim nie zostało podpowiedziane przez schematy literackie, wszystko natomiast wynikło z samego życia. Opowiada ona o rzeczach i zdarzeniach tragicznych, a przecież tak bardzo zwykłych: ludzie są tu niemal typowi, rozmowy bardzo codzienne i nawet śmierć jest śmiercią z kronik codziennych gazet. Dzięki szlachetnej prostocie, dzięki wierności i pięknej sile ewokacji zwykła rzeczywistość kronik urosła w tej powieści do wyżyn prawdziwej tragedii.

A jednak ta książka nie jest smutna, nie przygnębia czytelnika; zostawia go w smudze głębokich wzruszeń, które z serca zdejmują oschłość, a z oczu łuskę w stosunku do codziennych tragedii ludzkich.

Nie ma w „Annie" programowego stawiania problematyki, ale mało jest we współczesnej literaturze polskiej powieści, w których z taką siłą i prawdą było pokazane miażdżenie jednostek przez mechanizm społeczny.

Debiut ten, który powstał w szczególnych okolicznościach życiowych, zasługuje na szersze omówienie. Na razie sygnalizujemy tylko czytelnikom jego ukazanie się.

JERZY HULEWICZ: „GÓRA OXYMORONU". Powieść— str. 341. Drzeworyt oryg. Jerzego Hulewicza. Okładka wg projektu autora. Dom Książki Polskiej — Warszawa.

Powieść Jerzego Hulewicza, występującego z nowym dziełem po kilku latach milczenia, należy do specjalnego rodzaju literatury. Faktura powieści odbiega znacznie od normalnego wzoru, dwie fabuły występują równolegle, naświetlając jednak jeden, odwieczny problem. Druga fabuła, którą autor z pogodną ironią nazywa komentarzem do głównego wątku, stanowi niezwykle interesującą opowieść, zahaczającą dzięki nowoczesnemu operowaniu efektami o sensacyjną i rewelacyją stronę naszego życia. Lecz to tylko jeden z motywów, bo inny znowu opowiada o głębokich a przesiąkniętych prawdą wewnętrzną konfliktach, w których chodzi o twórczość człowieka, o jego prawo do twórczego życia.

Zniżając się do zwyczajnego tonu widzimy w „G ó r z e O x y m o r o n u" korowód dziwnych ludzkich postaci w najdziwniejszym mieście na świecie.

Istnieje bowiem ta wielka budowla ciążąca nad dziejami ludzkości: w i e ż a b a b e l, synteza zbieżnych i przeciwstawnych sił w życiu naszym. To druga fabuła w powieści Jerzego Hulewicza, kontynuującego konsekwentnie i śmiało linię swej twórczości od „Kaina" i „Army" do nowej powieści „Góra Oxymoronu".